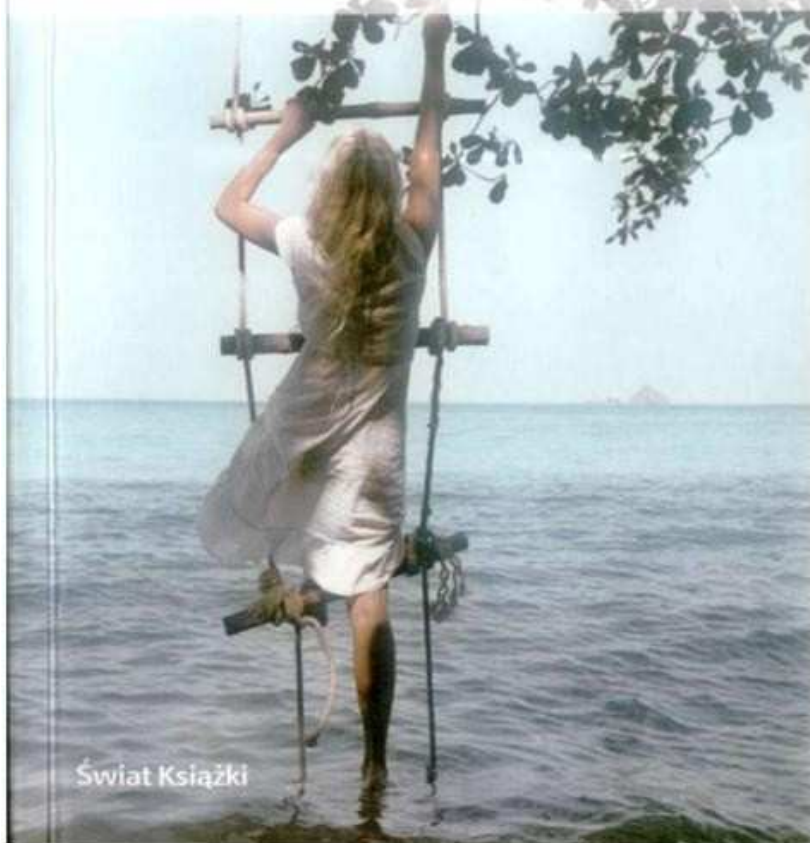


WYDAWSTWO
WYKONSTWA

JAMES
PATTERSON
LISTY PISANE
MIŁOŚCIĄ



Świat Książki



Drogi Czytelniku!

Czy kiedykolwiek dostałeś list, który całkowicie odmienił Twoje życie? Ja dostałem. Do dziś pamiętam, z jakim niepokojem otwierałem kopertę i jak bardzo chciałem wiedzieć, co jest w środku.

Listy pisane miłością to powieść o takim właśnie przeżyciu. Moja bohaterka wraca do miejscowości, w której jako dziecko spędzała wakacje i gdzie przeżyła wiele pięknych chwil. Po przyjeździe znajduje zaadresowane do siebie listy. Każdy z nich zawiera fragment opowieści, dzięki której Jennifer zaczyna inaczej patrzeć na świat i... zakochuje się po uszy.

Na kartach tej książki przeplatają się dwie wzruszające historie, pełne miłości, nadziei, bólu i nieprzemijających uczuć.

Mam nadzieję, że przeczytanie tej powieści dostarczy Ci, drogi Czytelniku, tyle samo radości, ile mnie jej napisanie.

z poważaniem
James Patterson

James Patterson – amerykański pisarz, autor wielu bestsellerowych thrillerów i powieści obyczajowych dla kobiet. W Polsce ukazały się m.in. *Pamiętnik pisany miłością*, *Łasica*, *Jack i Jill*, *Kot i mysz*, *Ty umrzesz pierwszy*, *Druga szansa* i *Miesiące miłości*. Jest laureatem nagrody Edgar Award.

Nowości i zapowiedzi
www.swiatkiazki.pl

ISBN 83-247-0001-3



9 788324 700013

Cena 19,90 zł

Nr 5300



JAMES PATTERSON LISTY PISANE MIŁOŚCIĄ

Z angielskiego przełożyła
Bożena Krzyżanowska



Świat Książki

Tytui oryginału
SAM'S LETTERS TO JENNIEFR

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Zdjęcie na okład-
ce Flash Press
Media

Redaktor prowadzący
EJimeta Kobusińska

Redakcja merytoryczna
Ludwika Szumna

Redakcja techniczna
Julita Czachorowska

Korekta
Radomita Wójcik Maria Włodarczyk

Copyright © 2004 by James Patterson
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Bertelsmann Media sp. z o.o.
Warszawa 2005

Świat Książki
Warszawa 2006
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Piotr Trzebiecki

Druk i oprawa Rzeszowskie
Zakłady Graficzne S.A.

ISBN 83-247-0001-3
Nr 5300

Pragnę gorąco podziękować Florence Kelleher,
która wyszperała wszystko, czego jeszcze nie wiedziała,
o Lake Geneva w stanie Wisconsin. Wyrazy wdzięczności
składam również Lynn Colomello, a przede wszystkim
Maxine Paetro, mojej przyjaciółce i powiernicy, która
od początku niemal do końca pomagała mi w nadaniu „Listom”
ostatecznego, możliwie najdoskonalszego kształtu.

Prolog

Jak zawsze

Siedziałyśmy z Sam na wyludnionej plaży nad jeziorem Michigan, nieco na północ od hotelu Drake w Chicago. Obie zawsze bardzo miło wspominamy Drake, gdzie i tym razem wcześniej zjadłyśmy obiad przy naszym ulubionym stoliku. Ten wieczór koniecznie chciałam spędzić z Sam, ponieważ - jak by to powiedzieć? - minął właśnie rok od chwili, kiedy zdarzyło się coś, co nie powinno się było zdarzyć: rok temu zmarł Danny.

- To tutaj spotkałam Danny'ego, Sam. W maju, sześć lat temu - powiedziałam.

Sam jest bardzo dobrą słuchaczką. Cały czas utrzymuje kontakt wzrokowy i prawie zawsze interesuje ją, co chcę jej powiedzieć, nawet jeśli trochę przynudzam, jak teraz. Zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami, gdy miałam dwa latka, a może nawet wcześniej. Wszyscy mówią, że stanowimy „zgrany duet”. Na nasz gust to zbyt grzeczne określenie, ale kryje się w nim sporo prawdy.

- Tego wieczoru, kiedy spotkałam Danny'ego, panował przenikliwy chłód, a ja byłam potwornie przeziębiona. Co gorsza, ta wstrętna bestia Chris, mój były chłopak, wyrzucił mnie z naszego mieszkania.

- Wredny bydlak, gnojek - dołożyła Sam. - Nigdy nie lubiłam Chrisa. Możesz mówić dalej?

- Po plaży biegał jakiś miły facet. To był właśnie Danny. Mijając mnie, zapytał, czy dobrze się czuję. Kaszlałam, płakałam, w ogóle musiałam wyglądać okropnie, spytałam

więc: „A czy sprawiam wrażenie kogoś, kto dobrze się czuje? Pilnuj swego nosa. I tak mnie nie poderwiesz, jeśli o to ci chodzi. Spadaj!”

Prychnęłam, doskonale naśladowując Sam.

- To właśnie stąd się wzięło moje przezwisko „Spadaj”. Tak czy inaczej po jakimś czasie Danny znowu pojawił się przy mnie. Powiedział, że mój kaszel słysząc na trzy kilometry. Przyniósł mi kawę, Sam! Biegł taki kawał po plaży z gorącym kubkiem - dla zupełnie obcej osoby.

- Owszem, zupełnie obcej, ale za to jakże pięknej.

Zaniemówiłam. Sam objęła mnie i powiedziała:

- Tak dużo przeszłaś. To okropne i niesprawiedliwe. Chciałabym móc jednym skinieniem czarodziejskiej różdżki zmienić twój świat na lepszy.

Wyjęłam z kieszeni džinsów złożoną pogniecioną koptę.

- Danny zostawił mi list. Tam, na Hawajach. Dokładnie rok temu.

- Czytaj, Jennifer. Wyrzuć z siebie wszystko. Zamieniam się w słuch.

Otworzyłam list i zaczęłam czytać z zaciśniętym gardłem.

Kochana, cudowna, wspaniała Jennifer...

To Ty jesteś człowiekiem pióra, nie ja, mimo to spróbuję Ci przekazać, jakie uczucia wzbudziła we mnie Twoja wspaniała wiadomość. Myślałem, że nie możesz jeszcze bardziej mnie uszczęśliwić, ale byłem w błędzie.

Jen, latam w tej chwili w obłokach i nie mogę uwierzyć w to, co czuję. Bez wątplenia jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Ożeniłem się z najwspanialszą kobietą na świecie, a teraz będę miał z nią najwspanialsze dziecko. Czy w takiej sytuacji mogę być złym tatusiem? Będę bardzo dobrym ojcem. Obiecuję.

Dzisiaj Kocham Cię jeszcze bardziej niż wczoraj,
a nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo
kochałem Cię wczoraj.

Kocham Ciebie i naszego maleńkiego „orzyszka”.

Danny

Po policzkach spływały mi łzy.

- Jestem dużym dzieckiem - łkałam. - Żalonym dużym dzieckiem.

- Nieprawda, jesteś jedną z najsilniejszych kobiet, jakie znam. Tak dużo straciłaś, a jednak wciąż walczysz.

- Tyle że z wolna przegrywam. Naprawdę. Coraz bardziej przegrywam, Sam.

Wtedy Sam mocno mnie objęła i co najmniej przez chwilę było mi o wiele, wiele lżej. Jak zawsze.

Część pierwsza

Listy

ROZDZIAŁ 1

Moje wygodne trzypokojowe mieszkanie znajdowało się w przedwojennym budynku w Wrigleyville. Danny'emu i mnie podobało się tu wszystko: pejzaż za oknem, bliskość Chicago, sposób, w jaki umeblowaliśmy pomieszczenia. Obecnie spędzałam tu coraz więcej czasu - „zaszywałam się”, jak mawiali moi dobrzy przyjaciele. Mówili też, że „wzięłam ślub ze swoją pracą”, że „nie widzę świata bożego”, że jestem „beznadziejną pracoholiczką”, „starą panną z odzysku”, „głupią romantyczką”, by wymienić tylko kilka kpinek, które udało mi się zapamiętać. Niestety, było w nich bardzo dużo prawdy, ja sama mogłabym niejedno dorzucić do tej listy.

Próbowałam zapomnieć o tym, co się stało, ale okazało się to za trudne. Przez kilka miesięcy po śmierci Danny'ego nękała mnie okropna, obsesyjna myśl: „Nie mogę bez ciebie Oddychać, Danny”.

Nawet po półtora roku wciąż jeszcze muszę odpędzać od siebie myśli o wypadku i wszystkim, co potem nastąpiło.

W końcu zaczęłam spotykać się z chłopakami: był więc wysoki jak tyczka redaktor z „Tribune”, Teddy, który nie piął niczego prócz wody; zwariowany na punkcie sportu Mike, którego poznałam na meczu Cubs; wybrałam się nawet na isticie piekielną randkę w ciemno z Coreym. Nie lubiłam tego, ale życie musiało przecież jakoś toczyć się dalej, praw-

da? Miałam wielu dobrych przyjaciół - małżeństwa, samotne kobiety, kilku facetów, którzy byli wspaniałymi kumplami. Naprawdę. Słowo daję. Wszystkim mówiłam, że dobrze sobie radzę, choć była to zwykła bujda na resorach i oni dobrze o tym wiedzieli.

Zawsze mogłam liczyć na swoich najlepszych przyjaciół: Kylie i Danny'ego Borisłowów; kocham ich oboje i bardzo dużo im zawdzięczam.

Wracając jednak do chwili obecnej, to za trzy godziny miałam oddać do druku następny „wspaniały”, „niezapomniany” felieton dla „Tribune”, a tymczasem nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Odrzuciłam trzy pomysły i znów zapatrzyłam się w pusty ekran. Prawdę mówiąc, pisanie dowcipnych felietonów wcale nie jest prostym zadaniem. Dzięki Markowi Twainowi, Oskarowi Wilde'owi i Dorothy Parker wszystkie tematy, którymi warto się było zająć, już dawno zostały poruszone, a na dodatek zaprezentowano je w znacznie lepszej formie, niż ja kiedykolwiek byłabym w stanie to uczynić.

Wstałam z sofy, włożyłam do odtwarzacza płytę kompaktową Elli Fitzgerald i przestawiłam klimatyzację na największy chłód. Upiłam łyk kawy z plastikowego kubka. Była wspaniała. Drobiazgi zawsze przynoszą nadzieję.

Potem zaczęłam krążyć po salonie w jednym ze swoich ulubionych „redaktorskich strojów” - dresie Danny'ego z Michigan University i w swoich czerwonych skarpetkach, które zawsze przynosiły mi szczęście. Zaciągnęłam się papierosem - to mój najnowszy nałóg. Mike Royko powiedział kiedyś, że felietonistę należy oceniać na podstawie jego ostatniego tekstu. Te słowa prześladują mnie, podobnie jak moja dwudziestodziewięcioletnia zwierchniczka, anorektyczka Debbie, która do niedawna pisywała artykuły dla londyńskiej prasy brukowej, nosiła ubrania tylko od Versace, całą resztę od Prady, a okulary z Morgenthal Frederics.

Prawdę mówiąc, wkładam w moje felietony serce. Staram się, by były oryginalne, aktualne i zawsze dostarczam je w terminie, bez pudła.

Dlatego nie odbierałam telefonu, który dzwonił od kilku godzin. Parę razy nawet na niego zakląłam.

Trudno znaleźć nowe pomysły, jeśli pisze się trzy razy w tygodniu przez pięćdziesiąt tygodni w roku, chociaż „Trib” za to właśnie mi płaci. Ale ta praca to niemal całe moje życie.

Wielu czytelników jest zdania, że wspaniale mi się powodzi, często nawet piszą, że chcieliby zamienić się ze mną miejscami... Zaraz, zaraz, a może to jest pomysł?

Nagle za moimi plecami rozległ się hałas. To Sox, moja roczna pręgowana kotka, zrzuciła z półki książkę „The Devil in the White City”. Przy okazji przestraszyła Euforie, która drzemała na maszynie do pisania, na której podobno Scott Fitzgerald napisał „Czuła jest noc”. Lub coś innego. A może Zelda wystukała „Save Me the Last Waltz”?

Znów zadzwonił telefon. Gwałtownym ruchem podniosłam słuchawkę.

Gdy zdałam sobie sprawę, z kim rozmawiam, doznałam wstrząsu. Z daleka dobiegał głos Johna Farleya, przyjaciela rodziny z Lake Geneva w stanie Wisconsin. Pastor przywitał się ze mną dziwnie łamiącym się głosem, jakby płakał.

- Chodzi o Sam - wyjaśnił.

ROZDZIAŁ 2

Zacisnęłam palce na słuchawce.

- Co się stało?

Wciągnął powietrze w płuca, dopiero potem się odezwał.

- Och, Jennifer, nie mam pojęcia, jak ci to powiedzieć. Twoja babcia upadła. Nie jest z nią najlepiej.

- Tylko nie to! - jęknęłam.

Pobiegłam myślami do Lake Geneva, miejscowości wypoczynkowej o jakieś półtorej godziny jazdy na północ od Chicago. To właśnie tam, nad jeziorem, w dzieciństwie spędzałam każde lato i tam przeżyłam kilka najwspanialszych chwil w życiu.

- Była sama w domu, dlatego nie wiadomo, co się właściwie stało - ciągnął. - Jest w sypialni. Możesz przyjechać, Jennifer?

Byłam zaszokowana. Przed dwoma dniami rozmawiałam z Sam. Żartowałyśmy z mojego nieudanego życia uczuciowego, groziła nawet, że przyśle mi paczkę z facetami z piernika, oczywiście w odpowiednich rozmiarach. Sam bardzo lubi żarty. Zawsze lubiła.

W pięć minut przebrałam się i wrzuciłam do torby kilka rzeczy. Nieco więcej czasu zajęło mi złapanie Euforii i Sox, a potem umieszczenie ich w klatkach i przygotowanie do niespodziewanej podróży.

Za chwilę pędziłam Addison Street starym granatowym jaguarem z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Gdy żył Danny, samochód ten był naszą dumą i radością. Miał jeden nieco dziwaczny szczegół: podwójny bak.

Próbowałam myśleć o wszystkim innym, tylko nie o Sam. Babcia była jedyną osobą, która mi została, oprócz niej nie miałam już nikogo z bliskiej rodziny.

Moja mama zmarła, gdy miałam dwanaście lat. Od tego czasu Sam była moją najlepszą przyjaciółką. Każdy, nie wyłączając mnie, życzyłby sobie, by jego małżeństwo było takie jak babci. Dziadek Charles był co prawda dość nieprzystępnym człowiekiem, ale gdy już przełamało się pewną barierę, okazywał się wspaniały. Oboje z Dannym byliśmy w Drake na uroczystości z okazji pięćdziesiątej rocznicy ich ślubu. Dwustu przyjaciół wiwatowało, gdy siedemdziesięcioletni dziadek, odchyliwszy Sam w tańcu tuż nad podłogę, złożył na jej ustach namiętny pocałunek.

Kiedy skończył pracę w kancelarii adwokackiej i przeszedł na emeryturę, oboje spędzali więcej czasu w Lake Geneva niż w Chicago. Coraz rzadziej miewali tam gości. Nie wiele osób pojawiło się też, gdy cztery lata temu dziadek zmarł. Po jego śmierci Sam na stałe przeprowadziła się nad jezioro. Wtedy sądzono, że wkrótce i ona odejdzie z tego świata.

Nie odeszła. Całkiem nieźle sobie radziła... przynajmniej do tej pory.

Mniej więcej piętnaście po ósmej wieczór zjechałam z zachodniego kierunku drogi numer 50 i skręciłam w drogę numer 12, lokalną dwupasmówkę, która przebiega w pobliżu Lake Geneva, NMNS, czyli najlepszego miejsca na świecie. Po jakichś pięciu kilometrach skręciłam w nie oznakowaną dróżkę. Wiedziałam, że za kilka minut dotrę do Centrum Medycznego Lakeland, próbowałam się więc przygotować.

- Jestem już bardzo blisko, Sam - szepnęłam.

ROZDZIAŁ 3

Gdy dotarłam do Centrum Medycznego Lakeland, wpadło mi do głowy, że nieszczęścia chodzą parami. Potem próbowałam odpędzić od siebie tę myśl. Przestań, Jennifer - powtarzałam sobie.

Wysiadłam z auta i poszłam schodami w stronę głównego wejścia. Przypomniałam sobie, jak przed laty usuwano mi tu z brwi haczyk wędkarski. Miałam wówczas siedem lat, a przywiozła mnie właśnie Sam.

Weszłam do środka i rozejrzałam się po oddziale intensywnej opieki medycznej. Miał kształt podkowy, a sale pacjentów znajdowały się z trzech stron. Przełożona pielęgniarek, szczupła czterdziestoletnia kobieta w okularach o różowych oprawkach, wskazała mi salę babci.

- Bardzo się cieszymy, że pani przyjechała - powiedziała. - A tak przy okazji: lubię czytać pani felietony. Zresztą wszystkim nam się podobają.

- Dziękuję - odparłam z uśmiechem. - Jest pani bardzo uprzejma. Miło mi to słyszeć.

Szybkim krokiem dotarłam do pokoju Sam, otworzyłam drzwi i weszłam.

- Och, Sam - szepnęłam, widząc ją. - Co ci się stało?

Na widok mnóstwa rurek podłączonych do jej rąk i wielu popiskujących urządzeń medycznych ogarnęło mnie prawdziwe przerażenie. Na szczęście Sam żyła, chociaż sprawiała wrażenie mniejszej i bardziej siwej, nierealnej niczym zjawa.

- To ja, Jennifer - szepnęłam. - Przyjechałam do ciebie. - Ujęłam jej rękę. - Wiem, że mnie słyszysz, dlatego mam zamiar gadać i gadać, póki nie otworzysz oczu.

Po kilku minutach za moimi plecami otworzyły się drzwi. Gdy się odwróciłam, ujrzałam wielobnego Johna Farleya. Gęste białe włosy miał w nieładzie, a na jego ustach błąkał się niepewny uśmiech. Wciąż był przystojnym mężczyzną, chociaż wiek nieco przygniótł go ku ziemi.

- Witaj, Jennifer - szepnął, serdecznie mnie ściskając.

Cofnął się na korytarz, wtedy sobie uświadomiłam, jak bardzo był zżyty z moimi dziadkami.

- Jak dobrze cię widzieć. Co wiesz o Sam? - spytałam.

Potrząsnął głową.

- Na razie nie otworzyła oczu, a to wcale nie jest dobry znak, Jennifer. Na pewno doktor Weisberg jutro powie ci coś więcej. Siedzę tutaj niemal cały dzień, od chwili kiedy się dowiedziałem.

Podał mi klucz.

- To dla ciebie, do domu babci.

Ponownie mnie objął i szepnął, że musi się trochę przespać, bo inaczej sam wyląduje tu jako pacjent. Potem oddalił się, a ja wróciłam na salę, do Sam. Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się stało.

Zawsze była taka silna, prawie nigdy nie chorowała, zwykle to ona zajmowała się innymi - zwłaszcza mną. Siedziałam przy niej dość długo, wsłuchując się w jej oddech, patrząc na jej piękną twarz i przypominając sobie wszystkie swoje pobyty w Lake Geneva. Zawsze uważałam, że Sam jest trochę podobna do Katherine Hepburn. Razem obejrzałyśmy wszystkie filmy tej aktorki, chociaż babcia wciąż z naciskiem powtarzała, że nie ma między nimi żadnego podobieństwa.

Byłam przerażona. Za nic w świecie nie mogłam teraz stracić Sam. Wydawało mi się, że dopiero przed chwilą odszedł Danny. Znów poczułam, że po policzkach spływają mi łzy.

- Cholera! - zaklęłam pod nosem.

Kiedy zdołałam się trochę opanować, przysunęłam krzesło nieco bliżej łóżka. Pocałowałam babcinę w oba policzki i wpatrywałam się w jej twarz. Oczekiwałam, że otworzy oczy, że się odezwie. Ale się nie doczekałam. Och, dlaczego czasem spotykają nas takie nieszczęścia?

- Idę do domu - szepnęłam. - Zobaczymy się jutro rano. Słyszysz mnie? Zobaczymy się jutro rano - powtórzyłam, kładąc nacisk na słowa: „zobaczymy się”. - Wczesnym rankiem.

Moja łza kapnęła na policzek Sam i powoli spłynęła po jej twarzy.

- Dobranoc, Sam - powiedziałam.

ROZDZIAŁ 4

Nie pamiętam, jak dotarłam z Centrum Medycznego Lakeland na Knollwood Road w Lake Geneva. Po prostu nagle znalazłam się na miejscu, a dom babci wydał mi się tak bardzo znajomy i bezpieczny.

Samochody, które od stu lat parkowały pod starym jak świat dębem, całkowicie wyniszczyły trawę pod nim. Tam

właśnie zatrzymałam swego jaguara. Wyłączyłam silnik i dłuższą chwilę siedziałam w aucie, próbując zebrać siły przed wejściem do domu.

Po lewej stronie trawnik opadał aż nad jezioro. Widziałam długi biały pomost, który połyskiwał w jasnym świetle księżycy, i lśniąca powierzchnię wody. W wodzie, jak w zwierciadle, odbijało się rozgwieżdżone niebo.

Po prawej stronie wznosił się dom oszalowany jasnymi deskami. Wokół niego biegła weranda, a na poddaszu znajdowały się dobudowane pokoje z mansardowymi oknami. Dom, cudowny dom moich dziadków. Znałam tu każdy, nawet najmniejszy zakamarek, a także widoki, które roztaczały się ze wszystkich okien i miejsc na werandzie.

Odpięłam pas bezpieczeństwa i wysiadłam. Było parno i wilgotno. Nagle poczułam zapach lilii, ulubionych kwiatów moich i Sam, ozdoby ogrodu, w którym spędziłyśmy razem wiele wieczorów, siedząc na kamiennej ławce, wdychając woń kwiatów i wpatrując się w niebo.

To tutaj babcia opowiadała mi wszystko o Lake Geneva - o tym, że jezioro zawsze zamarza najpierw od wschodu, że gdy plantowali teren pod pole golfowe w Geneva National, odkryli stary cmentarz.

Sam znała mnóstwo historyjek związanych z tym miejscem i nikt nie potrafił opowiadać tak zajmująco jak ona. To tutaj po raz pierwszy sięgnęłam po pióro. Tu, w tym domu, a moją muzą była Sam.

Nagle odczułam przytłaczający smutek. Łzy, które dotąd udawało mi się powstrzymywać, teraz przerwały wszelkie tamy. Osunęłam się na kolana na ubitą ziemię i wyszeptalam imię Sam. Ogarnęło mnie niejasne przeczucie, że babcia już nigdy nie wróci do swojego domu. Nie mogłam tego znieść.

Zawsze uważałam się za osobę silną, tymczasem byłam właśnie bliska załamania. Za nic w świecie nie mogłam do tego dopuścić.

Nie wiem, jak długo tak klęczałam. Wreszcie wstałam, otworzyłam bagażnik, zarzuciłam sobie torbę na ramię i niosąc obie kotki, weszłam do domu. Miauczały w swoich klatkach. Właśnie miałam je wypuścić, gdy ujrzałam światło w domu, który stał o sto metrów dalej, nad brzegiem jeziora. Za chwilę światło zgasło.

Odnosiłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Tylko kto mógł wiedzieć, że tu jestem?

Nawet Sam nie wiedziała.

ROZDZIAŁ 5

Dom Sam był moim ulubionym miejscem na świecie, najnormalniejszym i aż do dzisiejszego wieczoru... najbezpieczniejszym.

Teraz nagle utracił wszystkie swoje atuty. Kuchnia tonęła w ciemności, włączyłam więc światło. Później postawiłam na podłodze klatki z kotkami i wypuściłam je na wolność.

Wyrwały się jak małe konie wyścigowe. Sox jest w trzech czwartych zwyczajnym dachowcem, w jednej czwartej - kotem syjamskim. Euforia ma długie, białe włosy, zielone oczy i uwielbia pieszczoty. Gdy karmiłam swoje kotki, ręce wciąż jeszcze trzęsły mi się ze zdenerwowania.

Potem obezłam wszystkie pokoje. Nic się w nich nie zmieniło.

Stare podłogi z twardych desek, przybitych gwoździami o kwadratowych łebkach. Dużo kwiatów doniczkowych w oknie wykuszowym w jadalni. Oszałamiający widok na jezioro. Porozrzucane wszędzie książki. „Bel Canto”. Pamiętniki królowej Noor. „A Short History of Nearly Everything”.

Ulubione drobiazgi moje i Sam: stare jak świat szczytce do lodu z czasów, kiedy końmi przywożono go do Milwaukee i Chicago w ogromnych bryłach; stare śniegowce; obra-

zy, na których widniały kwitnące jabłonie nad brzegiem jeziora i przy starym dworcu kolejowym.

Westchnęłam ciężko. To był mój prawdziwy dom, zwłaszcza teraz, gdy Danny'ego nie było już w naszym mieszkaniu w Chicago.

Zaniosłam torbę do „swojego” pokoju na piętrze. Z jego okien roztaczał się widok na jezioro.

Właśnie zamierzałam rzucić torbę na toaletkę, gdy zauważyłam, że coś tam już leży.

Co to takiego?

Listy. Dwanaście paczek starannie obwiązanych sznureczkiem. Sto, może nawet więcej kopert ponumerowanych i z adresowanych do mnie.

Poczułam przyspieszone bicie serca, ponieważ od razu domyśliłam się, co w nich znajdę. Od wielu lat prosiłam Sam, żeby opowiedziała mi o swoim życiu. Chciałam poznać jej przeszłość, by potem przekazać ją swoim dzieciom. Najwyraźniej babcia zechciała spełnić moją prośbę. Czyżby przeczuwała, że coś się jej przydarzy? Może już dawniej źle się czuła?

Nawet się nie rozbierałam. Wsunęłam nogi pod miękką narzutę i położyłam plik listów na kolanach.

Patrzyłam na swoje imię, nakreślone niebieskim atramentem dobrze znanym mi charakterem pisma Sam. Potem odwróciłam pierwszą kopertę i ostrożnie ją otworzyłam.

List był napisany na pięknym białym papierze czerpanym.

Z zapartym tchem zaczęłam czytać, nie mogąc opanować wewnętrznego drżenia.

ROZDZIAŁ 6

Kochana Jennifer!

Przed chwilą wyjechałaś po naszym babskim weekendzie, a ja ani przez chwilę nie przestaję

o Tobie myśleć. Prawdę mówiąc, pomysł napisania tych listów wpadł mi do głowy, gdy żegnałyśmy się przy samochodzie.

Kiedy patrzyłam w Twoje oczy, ogarnęło mnie tak silne uczucie, że sprawiło mi niemal fizyczny ból. Wiem, że jesteście sobie bliskie, bardzo bliskie, dlatego uznałam, iż zawiodłabym, może wręcz zdradziła naszą przyjaźń, gdybym nie opowiedziała Ci o swoim życiu.

Tak więc postanowiłam, Jen, zdradzić Ci tajemnice, których dotąd nikomu nie wyjawiałam.

Niektóre przyjmiesz dobrze, inne mogą Cię trochę... zaszokować. Tak, to chyba najważniejsze słowo.

Siedzę w Twoim pokoju, patrzę na jezioro, piję z kubka cudowną miętową herbatę, którą obie tak lubimy, i z prawdziwą radością wyobrażam sobie, że czytasz moje listy małymi partiami, tak samo jak ja mam zamiar je pisać. Zamykam oczy, Jennifer, i widzę Twoją twarz. Twój śliczny uśmiech.

Myślę o miłości: płomiennej, szalonej miłości, od której serce bije w piersiach jak dzwon. Ale także o innej, trwałej, dojrzałej, wynikającej z głębokiej i doskonałej znajomości wzajemnej. Takiej, jaka łączyła Ciebie i Danny'ego.

Wierzę, że oba rodzaje miłości mogą istnieć jednocześnie i wobec tej samej osoby.

Pewnie zastanawiasz się, dlaczego piszę o miłości. Owijasz włosy wokół palca, prawda?

Prawda, Jennifer?

Chcę, a właściwie muszę napisać Ci, kochanie, o Twoim dziadku i o mnie. Pora więc przystąpić do dzieła.

Prawda jest taka, że w gruncie rzeczy nigdy nie kochałam Charlesa.

ROZDZIAŁ 7

Jennifer!

Kiedy napisałam już najtrudniejsze zdanie, a Ty musiałaś je przeczytać...

Proszę, przyjrzyj się uważnie staremu, czarno-białemu zdjęciu, które załączyłam do tego listu. Zostało zrobione w dniu, gdy moje życie przybrało całkiem niespodziewany obrót.

Pamiętam, że był to parny lipcowy poranek. Z powodu znacznej wilgotności moje włosy poskręcały się w głupie loczki, jak u Shirley Tempie. Nienawidziłam tej fryzury. Widzisz za moimi plecami okno z aptecznymi słoikami? Stoję przed apteką mojego taty i mrużę oczy przed ostrymi promieniami słońca. Mam na sobie niebieską, trochę spłowiałą sukienkę. Zwróć uwagę na moją postawę: ręce wsparte na biodrach, powściągliwy uśmiech. Taka właśnie byłam: pewna siebie, nad wiek rozwinięta, naiwna. Wierzyłam, że mogę być kim tylko zechcę.

Tak właśnie myślałam w chwili, kiedy zrobiono mi to zdjęcie.

Kilka lat wcześniej zmarła moja matka, a ja tego lata pracowałam w aptece. Miałam zamiar za rok wyjechać z Lake Geneva, podjąć studia na University of Chicago i w przyszłości zostać lekarzem. Prawdę mówiąc, marzyła mi się kariera ginekologa. Byłam dumna z siebie i z tego, że dzięki ciężkiej pracy mam szansę zrealizować swoje marzenia.

Gdy fotograf wykonał to zdjęcie, wróciłam z ojcem do słabo oświetlonego, wąskiego pomieszczenia. Wyszorowałam drewnianą podłogę i poukładałam gazety na obrotowym stole przy drzwiach.

Przecierałam gąbką marmurową ladę przy saturatorze, gdy ktoś otworzył, a potem głośno zatrzęsął drzwiami.

Nie skłamię, jeśli powiem, że to jedno stuknięcie odmieniło całe moje życie!

Uniosłam głowę i spojrzałam wilkiem na przynależną. Miałam przed sobą najprzystojniejszego młodego mężczyznę na świecie. W mgnieniu oka odnotowałam wszystkie szczegóły: że utyka, chociaż nie wiedziałam, dlaczego; że ma na sobie kosztowne ubranie, co mogło oznaczać, że jest letnikiem; że natarczywie mi się przygląda, a ja czuję, że mocniej bije mi serce.

Gdy podchodził do saturatora, przez cały czas patrzyliśmy sobie w oczy. Potem usiadł na jednym z obrotowych taboretów. Kiedy przyjrzałam mu się z bliska, jego rysy wcale nie wydały mi się idealne. Miał trochę za szeroki nos i lekko odstające uszy, jednakże uwagę zwracały przede wszystkim czarne jak smoła włosy, ciemnoniebieskie oczy i ładne usta. Tak przynajmniej wtedy pomyślałam i pamiętam to do dziś.

Przyjęłam od niego zamówienie na lunch. Potem z trudem odwróciłam się, żeby zrobić mu ogromną kanapkę z sałatką jajeczną, bez cebuli, z dodatkową porcją majonezu obok.

Wsypywałam kawę, czując na plecach jego wzrok. Niemal czułam, jak płonie mi kark.

Tego ranka czekało mnie sporo pracy. Miałam rozpakować towar, poza tym ojciec prosił, żebym mu pomogła robić lekarstwa na recepty.

Tkwiałam jednak przy saturatorze, ponieważ nieznanemu nie wychodził, a jeśli mam być całkiem szczerą, wcale nie chciałam, żeby wyszedł.

W końcu odsuną! talerz i poprosił o następną „kawusie”, co przyjął wybuchem śmiechu.

- Jesteś piękna, wiesz? - powiedział, gdy dolewałam mu kawy do kubka. - Chyba już gdzieś cię spotkałem. Może we śnie? A może tak bardzo chcę cię poznać, że jestem w stanie powiedzieć każde głupstwo?

- Mam na imię Samantha - wydusiłam. - I na pewno nigdy wcześniej mnie nie spotkałeś.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Cześć, Samantha. Jestem Charles - przedstawił się i wyciągnął rękę na powitanie. - Wyświadczyć żołnierzowi przysługę. Wybierz się z nim dziś wieczór na kolację.

Kto odrzuciłby taką propozycję?

ROZDZIAŁ 8

Jen!

Tego wieczoru zjadłam z Charlesem kolację w eleganckiej restauracji „Lake Geneva”, gdzie obie do dziś czasami chodzimy na dwu-, a nawet trzygodzinne lunche. Nigdy wcześniej nie byłam w tym lokalu, nic więc dziwnego, że olśnił mnie jego przepych, jasne światła i „szyk”. (Nie zapominaj, że miałam wtedy zaledwie osiemnaście lat). Mrugały świece, pobrzękiwało szkło, milczący kelnerzy podawali obfite posiłki, na naszym stoliku pojawiło się wino... a potem nawet szampan.

Charles sprawiał wrażenie dużo starszego ode mnie, chociaż miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Byłam zafascynowana wszystkim, co wtedy mówił, a także wszystkim, czego tamtego wieczoru nie powiedział. Po długich nagabywaniach w końcu wy-

znał, że podczas walk na Sycylii kula trafiła go w nogę, wspominał też o głębszej ranie i obiecał, że kiedyś mi o tym opowie.

Oczarowała mnie zapowiedź bliższej zażyłości.

W wieku osiemnastu lat byłam bardzo łatwowierna i bezkrytyczna. Wychowałam się w małym miasteczku, a dzięki Charlesowi poznawałam szeroki świat, który bardzo mnie wówczas intrygował. Czyż mogło być inaczej?

Musisz pamiętać, Jen, że w czasie wojny życie było czymś niezwykle cennym. Brat Gail Snyder zginął w Pearl Harbor, mój wujek Harmon został ranny, a niemal wszyscy chłopcy, których znałam, walczyli po drugiej stronie oceanu. (Używam słowa „chłopcy”, ponieważ na ogół byli to naprawdę bardzo młodzi ludzie, a wojna oznaczała dla mnie miejsce, gdzie wysyła się chłopców na śmierć). Fakt, że Charles wrócił do domu i że spotkaliśmy się tego lata, graniczył z cudem.

Przez półtora miesiąca spotykaliśmy się co wieczór, Charles zazwyczaj wpadał również do mnie na lunch. Powoli odzyskałam pewność siebie i zaczęłam się świetnie bawić, jak nigdy dotąd. Charles snuł cudowne opowieści o Europie i wszystkich krajach, które widział, ale najbardziej zawrócił mi w głowie, śpiewając popularne piosenki amerykańskie z wyraźnym francuskim akcentem. Od czasu do czasu bywał w gorszym nastroju, ale przeważnie czułam się tak, jakby spełniały się wszystkie moje marzenia. Był taki przy stojny, dowcipny, co więcej - był bohaterem wojennym!

Po jakimś czasie w księżycową noc nad jeziorem Charles wyznał, że mnie kocha i nigdy nie przestanie kochać. Powiedział to z takim zaangażowaniem!

zowaniem, że mu uwierzyłam. Kiedy po dziewięciu tygodniach naszej znajomości poprosił mnie o rękę, niemalże podskoczyłam do nieba. Krzyknęłam, a Charles uznał, że się zgadzam. Potem czule mnie pocałował i wsunął mi na palec pierścionek z wielkim szmaragdem. Och, byłam najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem!

Ślub wzięliśmy pod koniec września. Tego dnia słońce to cudownie świeciło, to znów znikало za grubą warstwą szarych chmur. Chwile ciemności były jak kurtyna, która opada po każdym akcie sztuki. Ślub wyglądał jak wspaniały spektakl na Broadwayu. Szalałam za Charlesem. Wszystko wydawało mi się nierzeczywiste, ale cudowne.

Uroczystość odbyła się w Lake Geneva Country Club. Ja i mój ojciec nie należeliśmy do tego klubu, nie stać nas również było na poniesienie kosztów takiej uroczystości, ale Stanfordowie mogli sobie na to pozwolić, dlatego większość decyzji zostawiliśmy moim przyszłym teściom.

Ojciec uparł się jednak, żeby ślubną suknię uszyła mi krawcowa z naszego miasteczka, pani Sine. Najpiękniejsza na świecie, wykończona wysoko pod szyją, długa do ziemi kreacja z białego jedwabiu zapinała się na plecach i na rękawach od łokcia do nadgarstka na dziesiątki guziczków, a jej szeroka spódnica falowała wokół moich stóp.

Znasz ją dobrze, Jen, przecież brałaś w niej ślub z Dannym.

Tak dobrze wszystko pamiętam! Wiejski klub, naszych gości, prostego jak strzała Charlesa z zaczesanymi do tyłu, lśniącymi czarnymi włosami. Ojciec przekazał mnie przystojnemu panu młodemu. Nieśmiało wyszeptalam przysięgę małżeńską, z całego serca zgadzając się z każdym słowem.

Wymieniliśmy obrączki, a potem Charles uniósł mój welon i pocałował mnie. Po głośnych wiwatach i oklaskach goście wysypali się z budynku klubu na rozległy trawnik. Nad brzegiem jeziora stały białe namioty. Wspaniałe potrawy kosztowały majątek, a najlepszy zespół z Chicago grał kawałki Benny'ego Goodmana i Glenna Millera.

Połowa gości mogła się poszczycić nienagannymi manierami i strojami od znanych projektantów mody z Chicago i Nowego Jorku; moi przyjaciele i członkowie rodziny wystąpili w najlepszych niedzielnych ubraniach i może tylko zbyt często wbiłali wzrok w ziemię. Na szczęście szampan robił swoje. Tańczyliśmy do utraty tchu na trawniku, a po niebie ciągnęły klucze dzikich gęsi. Gdy zaszło słońce, przyjaciółki powiedziały, że szczerze mi zazdroszczą. Doskonale je rozumiałam i nie pozostało mi nic innego jak się z nimi zgodzić.

Wszystko zapowiadało się wspaniale, Jennifer.

Albo wierzyłam, że tak się zapowiada, w ów cudowny wieczór i noc poślubną nad naszym przepięknym jeziorem.

ROZDZIAŁ 9

Przeczytałam zaledwie kilka listów, tak jak chciała babcia, po czym zasnęłam w ubraniu. Śniła mi się Sam, dawniej i dziś. Obudziłam się dziwnie przerażona, jakby podczas snu dręczyły mnie koszmary.

Dopiero po dobrej chwili rozpoznałam zielonkawe ściany i moherowy koc na swoich nogach. Znajdowałam się w domu Sam. Domu, w którym zawsze byłam bezpieczna i szczęśliwa. Przynajmniej dotąd.

Coś ciążyło mi na piersi - była to Sox, pogrążona w głębokim śnie.

Gdy odsuwałam kotkę na bok, zza pojedynczej szyby w oknie mojej sypialni dobiegł przenikliwy krzyk, niemal mrozący krew w żyłach. Czyżby kogoś mordowano? Nie możliwe - skąd jednak ten potworny odgłos?

Podbiegłam do okna, rozsunałam zasłony i spozierałam na podwórko. Był wczesny ranek.

Przez okno widziałam jedynie głębokie cienie, pasma mgły napływające znad jeziora i szereg pokrytych gontem domków. To właśnie wśród nich ujrzałam mężczyznę, który krzyczał, jakby miał dziesięć lat. Biegł przez trawnik jakieś sto metrów od domu Sam.

Po chwili wpadł na pomalowany na biało pomost i nie zatrzymując się ani na chwilę - wskoczył do wody.

Co za piękny skok! I jakże dziwna scena o tak wczesnym poranku.

Jeszcze przez jakąś minutę widziałam, jak ów człowiek spokojnie pruje fale, a potem znika we mgle. Bardzo dobrze pływał - miał silne ramiona i pełne gracji ruchy. Ten widok przypomniał mi Danny'ego. On też był dobrym pływakiem.

Odwróciłam się. Zdążyłam już w pełni się rozbudzić, zdjęłam pogniecione ubranie i włożyłam czyste dżinsy i błękitną bluzę, która leżała na samym wierzchu mojej torby. Potem pobierałam listy, które spadły na podłogę. Przypomniałam sobie słowa: „...w gruncie rzeczy nigdy nie kochałam Charlesa”. Wciąż nie mogłam się z tym pogodzić. Ja bardzo kochałam dziadka, jak to więc możliwe, że babcia nie darzyła go podobnym uczuciem?

Zeszłam schodami na parter, do wyłożonej złocistym dębem przytulnej kuchni, w której rozpoczynałam tak wiele letnich poranków. Zaparzyłam sobie kawę i zadzwoniłam do szpitala, by zapytać, jak się czuje Sam, i dowiedzieć się, czy jej lekarz zechce ze mną rozmawiać. Stan Sam był stabilny. Jak dotąd nie otworzyła oczu.

Jakiś czas krzątałam się po kuchni. Przyrządziłam sobie śniadanie: płatki, sok pomarańczowy, „kawusień” i pełnoziarnisty tost ze słodkim masłem. Nakarmiłam kotki... i zerknęłam w okno, żeby sprawdzić, czy pływak wrócił. Jeszcze go nie było. Może to tylko zjawą?

Delektowałam się kawą i podziwiałam jezioro. Boże, jakie ono piękne! Poranna mgła trochę się uniosła. A cóż to takiego? Pływak wydzwignął się na pomost i kantem dłoni zgarniał wodę ze swojego ciała. Nagle zorientowałam się - wcześniej tego nie zauważyłam - że jest nagi.

No cóż, ktokolwiek to był, trzeba przyznać, że miał całkiem niezłe ciało. Najwyraźniej on też był tego zdania. Typowy męski narcyzm, nieskażony myślą.

- Palant - mruknęłam.

Po jakichś dziesięciu minutach pod dębem cicho zamrugał silnik jaguara. Na siedzeniu obok kierowcy położyłam wielki bukiet świeżo zerwanych kwiatów. Jechałam na spotkanie z Sam. Chciałam jej zadać kilka pytań.

ROZDZIAŁ 10

Droga do szpitala zajmowała zwykle piętnaście minut, ja dotarłam tam nieco szybciej. Poszłam na oddział intensywnej opieki medycznej. Koło dyżurki pielęgniarek już zbierali się pierwsi goście. Na szczęście udało mi się złapać jednego z lekarzy. Doktor Mark Ormson powiedział mi, że muszę chwilę poczekać, ponieważ lekarz zajmujący się Sam właśnie ją bada.

W kącie poczekalni stał automat z kawą. Wrzucając ćwierćdolarówki, pomyślałam, że koniecznie muszę zobaczyć się z Sam, ale niekoniecznie muszę pić tyle kawy.

Mimochodem zauważyłam, że na plastikowym krześle siedzi tam jakiś mężczyzna: opalony, ze starannie przystrzyżoną bródką, pewnie trochę po siedemdziesiątce. Podniósł

rękę, wstał i podszedł do mnie. Okazało się, że to Shep Martin, prawnik Sam, a zarazem jej sąsiad znad jeziora.

Zaczęliśmy rozmawiać. Tak jak wszyscy był zmartwiony, wręcz przerażony stanem Sam.

- Jestem jej wielbicielem od czterdziestu lat - wyznał. - Poznałem ją właśnie tutaj, w szpitalu.

Potem opowiedział mi przejmującą historię.

- Jakieś czterdzieści lat temu, pewnej nocy, kiedy byłem w podróży, dotarła do mnie wiadomość, że mój ojciec miał wypadek samochodowy. Gdy rano przyjechałem do szpitala, zastałem przy jego łóżku kobietę, której nigdy przedtem nie widziałem. Trzymała go za rękę. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Na szczęście Sam odezwała się pierwsza. Okazało się, że poprzedniego wieczoru odwiedzała w szpitalu przyjaciółkę. Charles akurat gdzieś wyjechał. Sam przechodziła obok sali, w której leżał ojciec, kiedy wpadła na nią pielęgniarka. Uznała Sam za moją siostrę Adele, chwyciła ją za rękę i zaprowadziła do ojca. „Ojciec wciąż o panią pyta” - wyjaśniła.

Mój ojciec był półprzytomny. Nie zorientował się, że Sam to nie Adele, a ona nie próbowała wyprowadzać go z błędu. Przesiedziała całą noc przy łóżku mojego taty... tylko dlatego, że kogoś potrzebował.

Gdy Shep skończył swoją opowieść, usłyszałam, że ktoś mnie woła.

Odwrociłam się: w drzwiach poczekalni stał lekarz, Max Weisberg. Jasnowłosey, starannie ogolony, w zielonym lekarskim kitlu, z kartą chorego w rękę. Z Makssem, kilka lat starszym ode mnie, znamy się od dziecka.

Ruszył w moją stronę z wyciągniętą ręką i przerażająco ponurą miną.

- Cieszę się, że przyjechałaś, Jennifer - powiedział. - Teraz możesz już wejść i zobaczyć się z babcią.

ROZDZIAŁ 11

Po drodze do pokoju Sam Max odpowiedział na większość moich pytań, a potem kazał mi wejść i posiedzieć przy niej. Podeszłam do łóżka z naręczem świeżych kwiatów i zbliżyłam je do twarzy babci, żeby mogła poczuć ich zapach.

- Cześć, to ja, Jennifer. Przyszłam, żeby znów trochę ci poprzeskadzać. Będę przychodzić, póki mi nie powiesz, że-bym przestała - zapowiedziałam, kładąc nacisk na słowo „powiesz”. - Wszyscy w mieście o ciebie pytają. Chcą, żebyś jak najszybciej wyzdrowiała. Bardzo za tobą tęsknimy, Sam. Oczywiście mówię w imieniu całego miasteczka... Ale przede wszystkim od siebie.

Ustawiłam kwiaty na parapecie w pobliżu łóżka.

- Znalazłam twoje listy - powiedziałam. - Czyż mogła bym ich nie zauważyć?

Pogładziłam Sam po twarzy, potem pocałowałam ją w policzek.

- Dziękuję... że napisałaś je do mnie. Obiecuję, że nie przeczytam wszystkich naraz, chociaż mam wielką ochotę.

Przyjrzałam się Sam. Wydawało mi się, że tak dobrze ją znam, ale chyba się myliłam. Babcia wciąż była taka ładna - prawdziwa piękność. Z oczu popłynęły mi łzy, poczułam ucisk w klatce piersiowej. Przez chwilę nie mogłam mówić. Tak bardzo ją kochałam! Ona i Danny byli moimi najlepszymi przyjaciółmi, jedynymi, przed którymi nie miałam żadnych tajemnic. Teraz mogłam stracić i ją.

- Coś ci opowiem - zaczęłam. - Dawno, dawno temu, gdy miałam cztery, może pięć lat, co roku podczas wakacji przynajmniej kilka razy przyjeżdżaliśmy z Madison nad jezioro. W tamtych czasach lato kojarzyło mi się tylko z jeziorem.

Pamiętasz, Sam? - ciągnęłam. - Zawsze gdy wyjeżdżaliśmy, stałaś na werandzie i wołałaś: „Zegnajcie, Kocham was wszystkich!”. Wtedy wychylałam się przez okno samo-

chodu i odpowiadałam: „Do zobaczenia, babciu, ja też cię kocham! Do zobaczenia, babciu, kocham cię!”. Nie wiesz jednak, że powtarzałam te słowa przez całą drogę do domu: „Do zobaczenia, babciu, kocham cię. Do zobaczenia, kocham cię”. Naprawdę cię kocham, Sam. Słyszysz mnie? Bardzo cię kocham. I nie mam zamiaru się z tobą żegnać.

ROZDZIAŁ 12

Za nic w świecie nie chciałam opuścić Sam, ale byłam umówiona na lunch i wiedziałam, że muszę dotrzymać słowa. Wyjechałam więc z parkingu szpitalnego i wkrótce znalazłam się w centrum.

Lake Geneva bardzo przypomina miasteczko z klocków, tyle że w nieco większej skali, rzadko też można spotkać kogoś, kto by się nim nie zachwycił, chyba że trafi się na jakiegoś wyjątkowego cynika. Przy szerokiej, ruchliwej ulicy nie brakuje niezłych restauracji i zasobnych antykwariatów, a z tyłu - za domami - cudownie połyskuje tafla jeziora.

Zatrzymałam się na światłach i patrzyłam, jak po chodniku paradyją grupki roześmianych ludzi. I pomyśleć, że jeszcze niedawno temu krążyłam wśród nich razem z Dannym. Och, Danny, Danny, chciałabym, żebyś tu był - pomyślałam.

Zaparkowałam przed domem, w którym niegdyś mieściła się apteka mojego pradziadka, i weszłam do chłodnego wnętrza. W głębi, we wnęce z siedzeniami obitymi czerwoną skórą, czekał na mnie John Farley. Dzięki siwej gęstej czuprynie naprawdę wspaniale się prezentował. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki i niebiesko-żółtą koszulkę do rugby.

Wstał, gdy tylko mnie zobaczył.

- Fantastycznie wyglądasz - powiedział z promiennym uśmiechem.

- Miło to słyszeć z ust tak wybitnego znawcy - odparłam, uśmiechając się po raz pierwszy w tym dniu.

Wielu duchownych zachowuje się tak, jakby znali życie jedynie z książek, tymczasem John zawsze stąpał mocno po ziemi, niczym dobry chicagowski psychoanalityk. Zdecydowaliśmy się na kanapki z serem i koktajle czekoladowe. Zamówienie złożyliśmy u nastolatki, która nie mogła wiedzieć, że patrzę na saturator przez filtr w kolorze sepii - bo przypominam sobie opis pierwszego spotkania Sam z przyszłym mężem.

- Jakim człowiekiem był mój dziadek? - spytałam Johna, gdy podano nam lunch.

- Zawsze uważałem go za dobrego prawnika, nieuczciwego partnera do gry w golfa, dobrego męża, ojca i dziadka. Można powiedzieć, że był typowym mężczyzną - odparł.

- Charles i Sam poznali się właśnie tutaj - zdradziłam. - Niecałe trzy metry od stolika, przy którym siedzimy.

John musiał dostrzec smutek na mojej twarzy. Ujął moją dłoń.

- Ilekroć myślę o twoim dziadku, Jennifer, mam w pamięci, że nie tolerował najmniejszej plamki na swoim ubraniu, a jednak zawsze był na podwórku i na prośbę twojej babci grabił albo zbierał kamienie. Często też układał drewno do kominka lub majstrował przy samochodzie. Ona z kolei zajmowała się nim. Gotowała to, co lubił. Podtrzymywała go na duchu. Każde na swój sposób było bardzo oddane drugiemu.

Przytaknęłam, zastanawiając się, czy pastor mówi mi całą prawdę.

- A Sam? Co możesz powiedzieć o niej?

John Farley uśmiechnął się promiennie.

- Twoja babcia to najsilniejsza osoba, jaką znam. Jestem pewien, Jennifer, że z tego wyjdzie. Nie wolno ci jej skreślać.

ROZDZIAŁ 13

Tego popołudnia po powrocie do domu Sam robiłam wszystko, żeby się nie załamać. Może upiec jeden z ulubionych „zwarowanych placków” Sam i zjeść go za jednym posiedzeniem. Ogromny dąb przed domem rzucał na podwórkę delikatny cień. Jakaś para wędrowała ścieżką, która obiegała jezioro; żaglówki pływały, pchane wiatrem wypełniającym ich żagle.

Na brzegu jeziora jakiś starszy mężczyzna w wózku inwalidzkim rzucał brązowemu terierowi zieloną piłeczkę. Pies za każdym razem przynosił ją panu do rąk. Mężczyzna miał zdrową, rumianą cerę. W końcu mnie zauważył i - tutejszym zwyczajem - pomachał mi ręką.

Odpowiedziałam tym samym, a potem weszłam do domu. Wróciłam na werandę z wielką szklanką lemoniady i pakietem listów Sam.

Dręczyło mnie kilka pytań na temat moich dziadków. „W gruncie rzeczy nigdy nie kochałam Charlesa”. Czy to prawda? Czy to możliwe? Jakie jeszcze sekrety ukryte są w listach?

Usadawiłam się w wiklinowym bujanym fotelu, rozwiązałam pakiecik i dałam sznureczek Sox, która błyskawicznie, gdzieś z nim zniknęła.

Potem, nie zważając na wiatr, który rozwiewał mi włosy, zaczęłam czytać o tym, jaka naprawdę była moja babcia.

W kilku listach Sam opisywała swój ogród, wyrażała opinię o prowokacyjnym felietonie, który kiedyś napisałam; znalazłam też kilka uwag na temat prezydenta Clintona, którego Sam popierała, a który potem tak ją zawiodł.

Wreszcie wróciła do opowieści o swoim życiu... i uraczyła mnie następną sensacją. Jezu, ledwo zdążyłam otrząsnąć się po poprzedniej!

ROZDZIAŁ 14

Jennifer!

To może jest najprzykrzejszy mój list.

Jak wiesz, Charles i ja wyjechaliśmy na miodowy miesiąc do Miami. Zatrzymaliśmy się w Fontainebleau, cudownym hotelu przy Collins Avenue, tuż przy plaży. Niestety, Charles przez cały czas naszego tam pobytu był nieszczęśliwy. Skarżył się, że obsługa hotelowa zbyt się płaszczy, jedzenie jest zbyt wystawne, piasek zbyt piaszczysty. Mówiąc wprost, we wszystkim i we wszystkich dopatrywał się samych wad.

Szczególnie we mnie.

Trzeciego wieczoru zaraz po kolacji usiedliśmy na niewielkim tarasie przylegającym do naszego pokoju i słuchaliśmy, jak ocean uderza o pirs. Charles wypił kilka drinków.

- Bardzo się cieszę - zagadnęłam, starając się podtrzymać rozmowę - że poznaliśmy tę parę z Karoliny Południowej. Było śmiechu co niemiara, prawda?

Twarz Charlesa pociemniała, jakby nagle nie wiadomo skąd nadeszła burza. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Jeżeli kiedykolwiek mi się sprzeciwisz, jeśli pokrzyżujesz mi plany, zrobisz się nudna albo prostacka, odejdę i zostawię cię bez grosza przy duszy - powiedział.

Potem uniósł prawą rękę i wymierzył mi siarczysty policzek. Nigdy przedtem nikt mnie nie uderzył.

Potem wpadł jak burza do pokoju, zostawiając mnie przerażoną na tarasie. Długo siedziałam na zewnątrz, wsłuchując się w odgłosy fal oceanu.

A może to krew tak dudniła mi w uszach? Było mi niedobrze, chciałam wrócić do domu - tylko jak miałam to zrobić?

Byłam załamana, Jennifer, i zdezorientowana. Rozumiesz? Dla Charlesa opuściłam dom i wszystkich przyjaciół. W tamtych czasach życie wyglądało zupełnie inaczej, zwłaszcza w małych miasteczkach. Kobieta nie rozwodziła się, nawet jeśli była bita.

Tego wieczoru dorosłam. Wyobraziłam sobie naszą wspólną przyszłość i zdałam sobie sprawę, że nie zdołam jej zmienić. Zrobiłam tylko jedno. Przed wyjazdem z Miami powiedziałam Charlesowi, że jeśli jeszcze raz mnie uderzy, opuszczę go, nie zważając na konsekwencje. Wszyscy się dowiedzą, że jest draniem i damskim bokserem.

Po podróży poślubnej Charles i ja przeprowadziliśmy się do dużego apartamentu w Chicago. Między nami wciąż się nie układało. Kiedy Charles zrobił aplikację, zaczął pracować w rodzinnej kancelarii adwokackiej. Wkrótce urodziłam Twoją mamę, potem Twoją ciocię Val. Zawsze jednak najmilsze były dla mnie wakacje, ponieważ w tym czasie przebywałam z córeczkami w Lake Geneva.

Niestety, nawet wówczas bałam się weekendów, ponieważ Charles przyjeżdżał do nas z Chicago. Miał swoje humory, choć rzadko podnosił na mnie rękę. Był egoistą, na dodatek z prawdziwą satysfakcją poniżał mnie przy dzieciach i naszych przyjaciółach. Z drugiej jednak strony - zapewniał nam środki do życia. Dotrzymał też w końcu obietnicy, że zdradzi mi ponury sekret swojej przeszłości. Nie wtajemniczał mnie natomiast w swoje bieżące życie; nie mówił o kobietach, które miał w Chicago, i nie tylko tam.

Przykro mi, że Ci o tym wszystkim piszę, ale chciałaś poznać prawdę o moim życiu.

ROZDZIAŁ 15

Kochanie!

Muszę Ci opowiedzieć o dziadku coś jeszcze - wtedy może zrozumiesz, co sprawiło, że stał się takim właśnie człowiekiem. Takim mężem, a także dziadkiem.

Spróbuj sobie wyobrazić scenerię, w której Charles opowiada mi o grzechach ojca, wydarzeniach, które ukształtowały życie jego... i moje. Stało się to w Chicago trzy lata po naszym ślubie. Lało wtedy jak z cebra. Twoja mama spała słodko w swoim łóżeczku w pokoju obok. Byliśmy już w łóżku; pod oknem przejeżdżały samochody, oświetlając reflektorami nasze twarze.

W tę ponurą deszczową noc Charles opowiedział mi wreszcie o wydarzeniu, które odmieniło jego życie. Miał wówczas szesnaście lat.

Jego rodzice w swoim wielkim domu wydali przyjęcie na cześć starszego syna Petera, który właśnie ukończył prywatną szkołę. Po kolacji goście przeszli do biblioteki na kawę. Peter otwierał prezenty. Wówczas Charles zauważył żartobliwie, że jakimś dziwnym trafem jego starszy brat zawsze otrzymuje to, co najlepsze.

Arthur Stanford wybuchnął gniewem. Odwrócił się do Charlesa i nazwał go niewdzięcznikiem. Powiedział, że najwyższy czas, by chłopak wreszcie poznał prawdę.

- Nie jesteś naszym synem. Zostałeś adoptowany! - krzyknął.

Rzucił te słowa ot tak, po prostu, w obecności wszystkich członków rodziny. Goście zamarli w bezruchu, a Charles pobiegł na piętro - chciał schować się w swoim pokoju. Z górnego podestu zawołał jeszcze:

- To nieprawda. Wiem, że to nieprawda!

Arthur Stanford zdążył już nieco ochłonąć.

- Uwierz mi. Nie jestem twoim ojcem, lecz wujem - wyjaśnił. - Jesteś synem mojego brata Bena. Zmajstrował cię jakiejś dziewczynie. Twoja matka to wielkie zero nie wiadomo skąd...

- Kłaaamiesz... - wyjąkał Charles żałośnie.

- W takim razie zapytaj swego ojca - rzucił Arthur. - Pora, żebyś go poznał. Z tego, co ostatnio słyszałem, od jakiegoś czasu pracuje w Murray Tap. To podła knajpa w Milwaukee. - Arthur Stanford ściszył głos. - Caroline i ja postanowiliśmy cię przygarnąć, Charlie. Staramy się dać ci miłość, robimy dla ciebie wszystko, co zrobić możemy.

Tego samego wieczoru Charles powędrował na dworzec kolejowy, kupił bilet za dolara i pociągiem North Shore Line wyruszył do Milwaukee.

Słuchając tej opowieści, Jennifer, patrzyłam, jak światła przejeżdżających samochodów oświetlają twarz Charlesa. W jego oczach widziałam straszliwy ból. Sercem byłam z nim. Chociaż nie wszystko mogłam mu wybaczyć, to przynajmniej wiedziałam, dlaczego bywa taki zły, a czasami nawet okrutny.

Charles snuł dalej dramatyczną opowieść. Niektóre słowa pamiętam do dziś.

Powiedział, że podróż trwała dwie godziny. Słowa wuja: „wielkie zero nie wiadomo skąd” zapadły mu w pamięć niczym refren kiepskiej piosenki. Wysiadł o północy przy Michigan Street. W publi-

zu były dwa ogromne browary, toteż w powietrzu unosił się ciężki odór piwa.

Charles zapytał o drogę, po czym tak długo wędrował na wschód, aż wreszcie trafił na Murray Avenue. Z trudem odnalazł poszukiwany lokal.

Nad wejściem nie było żadnego szyldu, tylko podświetlony napis w brudnym oknie po lewej stronie drzwi pozwalał rozpoznać lokal. Charles pchnął skrzypiące drzwi i wszedł. W środku było chyba jeszcze ciemniej niż na ulicy. Zobaczył długiego bar tonącego w kłębach gęstego dymu.

Mężczyźni, którzy po pracy w browarach roztańczyli wokół siebie woń nieświeżego słodu, odwrócili głowy w jego stronę, żaden jednak nie odezwał się słowem, nie zdziwił się, że do knajpy wszedł taki dzieciak.

Kiedy oczy Charlesa przywykły do mroku, wdrapał się na taboret. Siedział w cieniu i notował w pamięci wszystkie szczegóły. Na barze zobaczył kubek do gry w kości - kilku robotników grało o drinka. Dostrzegł też napis:

SPECJALNOŚĆ ZAKŁADU SIKI ŚWIĘTEJ WERONIKI

Najdłużej przyglądał się barmanowi, prymitywnemu mężczyźnie z bliznami na twarzy, ale o rysach charakterystycznych dla Stanfordów: arystokratycznym, z lekka garbatym nosie i odstających uszach.

- Poczułem do niego taką miłość, że aż zabolowało mnie serce - wyznał Charles.

W jego obecności ojciec oszukał klienta przy wydawaniu reszty, a potem opowiadał tak sprośne kawały, że chłopak się rumienił.

W końcu ojciec wytarł bar tłustą szmatą, pochylił się nad Charlesem, niemal dotykając jego twarzy, i warknął:

- Wynoś się stąd, smarkaczu. Spadaj, nim skopię ci tyłek, tak że wylądujesz po drugiej stronie rzeki.

Charles otworzył usta, by coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w krtani. Koszmar zdawał się nie mieć końca. Twarz mu płonęła, ale nie był w stanie się odezwać.

- Pedzio - rzucił ojciec, śmiejąc się głośno. - Ten szczeniak to pedzio. Zjeżdżaj, i to już!

Dygocząc ze zdenerwowania, Charles zsunął się z taboretu i wyszedł z baru. Nie powiedział ojcu, kim jest, nie odezwał się do niego ani słowem. Ani wtedy, ani później.

- Jak mogłeś wyjść, nie zamieniwszy z ojcem ani słowa? - spytałam Charlesa.

Bezbarwnym głosem, jakby mówienie sprawiało mu ból, wyjaśnił, że kiedy patrzył w twarz ojca, zobaczył oczy Arthura - były tak samo zimne i bezduszne. Wtedy zrozumiał, że jego ojciec nigdy go nie kochał i nigdy nie pokocha.

- Tak łatwo go znalazłem - wspominał. - Dlaczego on nigdy nawet nie próbował mnie szukać?

Tej nocy wzięłam Twojego dziadka w ramiona, Jennifer. Zrozumiałam, że jestem jedyną jego przyjaciółką, cokolwiek by to dla niego znaczyło. Gdy jednak tuliłam do swojej piersi głowę Charlesa i gładziłam go po włosach, w końcu zrozumiałam, dlaczego się ze mną ożenił. Ponieważ byłam wielkim zerem nie wiadomo skąd. Nasze małżeństwo było wyrazem buntu, w ten sposób Charles postanowił zagrać Stanfordsom na nosie.

Miałam dwadzieścia jeden lat, ale poczułam się tak, jakbym dotarła do kresu życia.

ROZDZIAŁ 16

Gdy przeczytałam smutną opowieść Sam o moim dziadku, zaczęło mi się kręcić w głowie. Bardzo go lubiłam, ale bez trudu uwierzyłam w tę historię. Chociaż Sam prosiła, żebym czytała listy powoli, chciałam dowiedzieć się wszystkiego jak najszybciej, a szczególnie - jak zdołała wytrwać u boku Charlesa przez tyle lat.

Siedziałam w kuchni. Gdy otwierałam następną kopertę, kątem oka dostrzegłam jakiś ruch i usłyszałam odgłos kroków przed domem. Drgnęłam, zaskoczona.

Zza domu wyłonił się mężczyzna. Odniosłam dziwne wrażenie, że go znam, chociaż nie wiedziałam, skąd. Wyszedłam na werandę, żeby się dowiedzieć, czego chce.

Miał piękne niebieskie oczy i jasnobrązowe włosy, które układały się w naturalnie łagodne fale; na czoło opadał mu pojedynczy niesforny kosmyk.

- Cześć - powiedział.
- Cześć - odparłam niepewnie.

Mógł mieć około czterdziestki. Był w szortach w kolorze khaki, T-shircie drużyny Notre Dame i niemodnych sandałach.

W końcu wszystko skojarzyłam. Kiedy widziałam go po raz ostatni, był bez ubrania. To mój pływak, specjalista od dzikich okrzyków.

- To ty, Jennifer? - spytał, co mnie trochę zaskoczyło. Zastanawiałam się, skąd zna moje imię, on tymczasem położył dłoń na poręczy i zaczął wchodzić na werandę domu Sam.

- Stop - ostrzegłam. - Czy ja pana znam?
- O rany, przepraszam. Jestem Brendan Keller. Mieszkam u wujka Shepa, cztery domy dalej. Powiedział mi, że

spotkał cię w szpitalu. Brendan Keller. Nie pamiętasz mnie, prawda?

Zaprzeczyłam ruchem głowy, ale zaraz potem przytaknęłam. Nagle wszystko sobie przypomniałam. W dzieciństwie, będąc na wakacjach w Lake Geneva, spędzałam wiele czasu z Brendanem Kellerem i moim kuzynem Erikiem. Traktowałam chłopców jak braci, których w rzeczywistości nigdy nie miałam. Przez jakiś czas łąziłam za nimi krok w krok. Nazywali mnie Smyk, tak jak nazywano małą bohaterkę „Zabić drozda”.

Później już nigdy nie spotkałam Brendana Kellera. Wyciągnęłam rękę.

- Cześć. Kopę lat.

Usiedliśmy na werandzie Sam i ucieliśmy sobie pogawędkę przy mrożonej herbacie. Przede wszystkim wspominaliśmy dawne czasy. Brendan znał moje felietony, a ja zdołałam od niego wyciągnąć, że jest lekarzem.

- Nazywaliśmy cię Smyk. Byłaś bardzo inteligentna jak na swoje dziesięć lat. Wtedy myślałam, że czytałaś „Zabić drozda”.

Roześmiałam się i spuściłam wzrok, dziwnie zażenowana. Pobieglę za moim spojrzeniem.

- Patrzysz na moje buty.

- Nie, tylko...

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Pożyczyłem je od wujka. Posłuchaj, skoro mowa o Shepie. Zdradził mi, że dziś w Lions Club będą najlepsze pod słońcem homary. Możesz się czuć zaproszona.

Niemal odruchowo potrząsnęłam głową.

- Nie. Przepraszam. Dziś nie mogę. Piszę felieton. Już jestem spóźniona.

- A jeśli zmienię buty? Mam naprawdę całkiem ładne mokasyny. Albo adidas? Mogę też iść na bosaka.

Uśmiechnęłam się.

- Nie mogę - powiedziałam. - Przepraszam. To ostateczny termin. Słowo daję.

Brendan wstał i odstawił herbatę.

- W porządku. W takim razie już idę. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy. Brendan Keller.

- Smyk - roześmiałam się.

Pożegnaliśmy się, nawet mu pomachałam, gdy wędrował w stronę domu wuja. Jakimś cudem prysnął mój wcześniej-szy nastrój. Odłożyłam listy Sam i weszłam do domu.

Tego wieczoru rzeczywiście trochę pracowałam, chociaż raz i drugi przypominałam sobie o homarze, z którego zrezygnowałam. W końcu zrobiłam sobie sałatkę, zastanawiając się, dlaczego postanowiłam zjeść kolację w samotności.

Znałam jednak odpowiedź na to pytanie. Danny.

I nasz maleńki „orzeszek”.

ROZDZIAŁ 17

Tej nocy znów snił mi się Danny. Nienawidzę tego snu jak niczego innego na świecie, zwłaszcza że jestem w nim jednocześnie Danny'm i sobą.

Scena wygląda zawsze tak samo.

Danny pływa na desce wzdłuż północnego brzegu Oahu. Plaża tam jest chyba najpiękniejsza w świecie. Jednego dnia fale są bardzo, bardzo wysokie, drugiego powierzchnia oceanu przypomina lustro.

Problem w tym, że tego dnia Danny jest całkiem sam. Powinam być na urlopie razem z nim, ale w ostatniej chwili coś mi wypadło i musiałam zostać w Chicago. Pracowałam nad ważnym kawałkiem dla „Tribune”. Dlatego zdecydowałam, że dojadę później.

Tak więc Danny jest w wodzie i czeka na falę. Po chwili płynie na jej grzbiecie. Fala rozbija się jednak znacznie wcześniej, niż Danny się spodziewał. Mój mąż opada więc na dno, mniej więcej sześć metrów niżej, i nie wie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Przypomina sobie podstawową zasadę:

jedna ręka w górę, druga w dół: szukaj dna, szukaj powierzchni.

Potem znów uderza w dno oceanu. Fala ma niewiarygodną siłę. Dudni mu w uszach, woda wdziera się do nosa, szarpie i wykręca jego ciało. Danny traci władzę w nogach. Czyby coś złamał? Czuje potworne pieczenie w płucach.

Potem rezygnuje ze wszystkiego... oprócz mnie i dziecka... Woła: „Jennifer! Jennifer, dopomóż mi!... Proszę, Jennifer, pomóż!”.

Obudziłam się zlaną zimnym potem w swoim dawnym pokoju w domu Sam. Serce waliło mi w piersiach jak oszalałe. Jak mam zapomnieć o przeszłości, skoro Danny wciąż pojawia się w moich snach? Zbyt późno przyjechałam na Hawaje... To wszystko moja wina. Tylko moja.

ROZDZIAŁ 18

Leżałam w łóżku kilka minut, póki nie usłyszałam dzikich okrzyków za oknem. Ożywiłam się nieco i rozsunęłam zasłony w mojej sypialni.

Zobaczyłam Brendana. Na szczęście tego ranka miał na sobie kąpielówki. Obserwowałam, jak wykonuje idealny skok z pomostu do wody.

- Wydorósłej - mruknęłam.

Po chwili zaczęłam się zastanawiać, od kiedy stałam się taką zrzędą.

Wzięłam prysznic, włożyłam wczorajsze dzinsy i T-shirt drużyny bejsbolowej „Tribune”, spięłam włosy w koński ogon i wyszłam na zewnątrz. Był cudowny letni poranek. Koniecznie chciałam znaleźć się na świeżym powietrzu, z dala od moich koszmarnych snów.

Wzdłuż ponad czterdziestokilometrowej linii brzegowej jeziora znajduje się około dwustu identycznych białych pomostów. Każdy ma prawie dwa metry szerokości i chyba dzie-

się metrów długości. Prawie wszystkie domy mają przy brzegu takie pomosty. W listopadzie wszyscy rozbierają pomosty na zimę, a na wiosnę malują i z powrotem montują na wodzie.

Z kubkiem kawy zesłam na koniec pomostu Sam, skąd mogłam obserwować kaczki krzyżówki i mewy, które nurkowały w poszukiwaniu pożywienia. W Wisconsin jest mnóstwo ryb, przede wszystkim okoni, a także trochę dorszy i pstrągów. To tu powstała Partia Republikańska, ale stąd też pochodzi odpowiedzialny za podatki demokraci William Proxmire, laureat nagrody Złotego Runa, przyznawanej agencjom rządowym, które marnotrawią pieniądze podatników. Ciekawy stan, prawda?

Brendan Keller płynął stylem dowolnym, tak samo jak poprzedniego ranka. Po jakimś czasie zawrócił i skierował się w moją stronę. Stawał się coraz większy, był coraz bliżej, aż w końcu wydzwignął się na pomost.

Otrząsnął się z wody jak pies.

- Cześć - powiedziałam.
- Powinnaś wskoczyć w kostium kąpielowy i popływać. Woda jest cudowna. Nie przesadzam.

- Nie mogę - wyjaśniłam, chociaż te słowa zabrzmiały głupio nawet w moich uszach. - Mam zobowiązania.

- Znów praca?

Z uśmiechem na twarzy zgarniał kantem dłoni nadmiar wody z ciała - tak samo jak poprzedniego dnia.

- Wybieram się właśnie do Sam - uściśliłam. - I jeszcze zastanawiałam się, czyby nie napisać felietonu o tym, jak rząd marnotrawi nasze pieniądze. Lubię walić prawdę prosto w oczy.

- Jadłaś?

- Ostatnio na śniadanie pijam tylko kawę - oświadczyłam, pokazując kubek.

- Proponuję ci coś lepszego - odparł. - Tylko mi się nie sprzeciwiaj. Smażę pierwszorzędne naleśniki z czarnymi jagodami. I robię to naprawdę szybko. Zaufaj mi, dobrze?

Zaufać mu? Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknęłam. Byłam zmęczona własną opryskliwością. W tej chwili wcale nie miałam ochoty na sprzeczkę ani na dyskusję.

Zrobiłam więc, jak mi kazał. Uwierzyłam, że potrafi usmażyć pierwszorzędne naleśniki z czarnymi jagodami.

I że potrafi to zrobić naprawdę szybko.

ROZDZIAŁ 19

Szłam z Brendanem brzegiem jeziora i zastanawiałam się, co ja właściwie robię. Chociaż z drugiej strony - co w tym złego? Poza tym, jeśli mam być szczerą, byłam naprawdę głodna i miałam ogromną ochotę na naleśniki z czarnymi jagodami.

Dom Shepa Martina był nowoczesny, a zarazem wygodny. W kuchni zainstalowane były wysokie okna i świetliki, marmurowe blaty lśniły czystością, drewniana podłoga również. W tle rozbrzmiewał dobry jazz (ktoś śpiewał „Stagger Lee”), a naleśniki okazały się rzeczywiście wyborne. Chrupkie, ale nie zanadto spieczone i nie za suche. Po prostu idealne.

Niestety, podczas posiłku panowała między nami niezręczna atmosfera. Brendan powiedział, że zajrzał na stronę internetową „Tribune” i po raz drugi przeczytał kilka moich felietonów. Wzruszyła go historia o uprowadzonym dziecku, rozbawiły moje rozważania: „Z kim byłoby lepiej wylądować na bezludnej wyspie: ze współmałżonkiem czy ulubionym kotem?”.

Przytakiwałam uprzejmie, ale nie podejmowałam tematu. Zaczynałam się czuć nieswojo. Nie chciałam być tu ani chwili dłużej, ale nie bardzo wiedziałam, jak wyjść.

Zjedliśmy naleśniki, Brendan opowiedział mi, że jest radiologiem i że mieszka w South Bend w Indianie. Stwierdziłam, że to świetnie... i na tym koniec.

Potrząsnął głową. Wydawał się zdziwiony.

- Zazwyczaj nie mówię tyle o sobie - wyznał. - Chyba świeże powietrze tak na mnie działa. Wziętem urlop naukowy. Czasami tak długo siedzę w ciemności i wpatruję się w zdjęcie rentgenowskie, że w końcu mam ochotę wybiec z krzykiem na słońce.

Siedziałam u niego dłużej, niż zamierzałam. Miałam przecież zamiar zjeść i dać nogę. W końcu podziękowałam Brendanowi za śniadanie i wróciłam do domu Sam. Dobrze przynajmniej, że w drodze powrotnej szłam, a nie biegłam.

Pokonałam sto metrów ścieżką brzegiem jeziora i szybko dotarłam do trawnika Sam.

Kotki powitały mnie cichymi miauknięciami. Dalej razem powędrowałyśmy w stronę domu ścieżką biegnącą wzdłuż obsadzonej bylinami granicy. Sam doskonale sobie ze wszystkim radziła. Nie odnosi się to chyba tylko do wyboru męża. Zastanawiałam się, czego jeszcze dowiem się z jej listów.

Wzdłuż całej posiadłości, od jeziora niemal do samej drogi, ciągnął się szeroki pas roślinności w pełnym rozkwicie. Tradycyjne krzaki róż okrywała czerwona i różowa piana, a irysy kołysały się na łądkach niczym błękitne ptaki.

Nagle zauważyłam, że w ogrodzie jest jakiś mężczyzna. Uśmiechnęłam się.

- Witaj! - zawołałam.

ROZDZIAŁ 20

- Henry! Tak się cieszę, że cię widzę! - zawołałam do wysokiego, żylastego mężczyzny, który wydobywał z samochodu narzędzia ogrodnicze.

Jego włosy tworzyły śnieżnobiały półksiężyc wokół łysiejącego czubka głowy, jasne oczy błyszczwały. Jak na siedemdziesięcioletka, poruszał się niezwykle sprawnie.

- Miałem nadzieję, że cię spotkam, Jennifer - powie diał. - Wczoraj w szpitalu rozminęliśmy się zaledwie o kilka minut. Wyglądasz ślicznie, kotku.

Potem Henry pocałował mnie i mocno uściśnął.

Podzieliłam się z nim informacją, jaką uzyskałam w rozmowie telefonicznej ze szpitalem - że stan Sam nie zmienił się. Henry kiwnął głową, a ja dostrzegłam w jego oczach ból. Przypomniałam sobie, jak on i Sam wspólnie pracowali nad tym, by ogród wyglądał tak pięknie jak dzisiaj.

Henry Bullock ukończył szkołę w Wisley w Anglii i był ogrodnikiem w Lake Geneva. Babcia była ogrodniczką amatorką, ale Henry zawsze powtarzał: „Sam ma wspaniałe wyuczucie i świetnie mi się z nią współpracuje”.

- Kiedy znalazłem ją w kuchni na podłodze, myślałem, że serce mi pęknie - wyznał, potrząsając głową, jakby nie chciał wracać do tamtego dnia.

- To ty ją znalazłeś? - spytałam zaskoczona.

- Tak - odparł, dotykając oczu chusteczką. - Żebyż to dziś rano Sam mogła zobaczyć swój ogród.

Mój Boże, ból Henry'ego z wielokrotnił moje cierpienie. Znów go objęłam i oboje po cichutku przekonywaliśmy się nawzajem, że Sam wkrótce wróci do domu. Zawsze trakto-
wałam Henry'ego tak, jakby należał do rodziny.

Chwilę później naszą rozmowę niemal całkowicie zagłuszył ryk jakiejś maszyny. To jeden z synów Henry'ego, Joseph, włączył przed domem kosiarkę do trawy. Pożegnałam się z naszym ogrodnikiem i weszłam do środka.

Na moim zegarku była za dwadzieścia dziewięć. Pomyślałam, że nim udam się na spotkanie z Sam, zdążę jeszcze przeczytać kilka listów.

ROZDZIAŁ 21

Kochana Jennifer!

Chciałabym podzielić się z Tobą krótką refleksją na temat drugiej, a nawet trzeciej szansy, jaką daje nam życie. Pewnego dnia, gdy sprzątałam w bibliotece, z jakiejś książki wypadła zakładka. Właściwie była to kartka z napisanymi odręcznie słowami księdza Alfreda D'Souzy: „Długo wydawało mi się, że życie - prawdziwe życie - dopiero kiedyś się zacznie. Tymczasem na mojej drodze ciągle pojawiały się jakieś przeszkody, zawsze było coś, co należało zrobić wcześniej: coś, co wymagało załatwienia, czas, który należało komuś poświęcić, dług, który trzeba było spłacić. Dopiero potem miało się zacząć prawdziwe życie. Aż wreszcie w którymś momencie zdałem sobie sprawę, że moje życie to owe przeszkody”.

Tak właśnie ja myślałam o swoim życiu, Jennifer. Zawsze robiłam dobrą minę do złej gry, ale w głębi duszy byłam bardzo nieszcześliwa.

Minęło ponad dwadzieścia lat od chwili, kiedy obiecałam sobie, że dam sobie drugą szansę, tymczasem wciąż odkładałam to na później. Wychowałam dwie wspaniałe córki. Ugotowałam niemal dziesięć tysięcy obiadów, dziesięć tysięcy razy pościeliłam łóżka, zawoziłam i odbierałam dziewczynki ze szkoły, brałam udział w pracach komitetu rodzicielskiego i robiłam wszystko, co uważałam za słuszne. Po cichutku pogodziłam się z myślą, że moje małżeństwo z Charlesem to wszystko, co dał mi los. Przestałam wierzyć w swoją drugą szansę.

Ten krótki cytat mnie poruszył.

Może też przygotował na jedną z najważniejszych chwil w moim życiu.

Miałam dopiero czterdzieści trzy lata, ale byłam mężatką od dwudziestu pięciu lat. Moje córki były już dorosłe, a ja czułam, że mój duch słabnie jak mucha w pajęczynie w kącie zakurzonego pokoju. Jennifer, ja nigdy naprawdę nie byłam zakochana. Czyż to nie dziwne?

Trzy tygodnie po przeczytaniu karteczki w bibliotece spotkałam kogoś. Nie wyjawię Ci, Jennifer, jego prawdziwego imienia ani nazwiska. Nie zdradzę go nawet Tobie.

Nazywałam go „Doc”.

ROZDZIAŁ 22

Droga Jennifer!

Jeśli to Cię trzepnęło - co mnie nie dziwi - wyobraź sobie, jak trzepnęło mnie. To był grom z jasnego nieba.

Pozwól, że opiszę Ci, jak do tego doszło. Właściwie Doc i ja znaliśmy się od lat, ale tego wieczoru, kiedy po raz pierwszy zwróciłam na niego uwagę, oboje braliśmy udział w długiej i nudnej jak flaki z olejem kolacji zorganizowanej przez Czerwony Krzyż w hotelu Como. Przypadkiem posadzono nas przy tym samym stoliku, a gdy zaczęliśmy rozmawiać, nie mogliśmy skończyć. Nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, ale nagle stałam się innym człowiekiem. Co więcej, znów poczułam się kimś. Mogłabym dyskutować z nim przez całą noc, do białego rana. Stało się to nawet tematem naszych żartów.

Charles oczywiście niczego nie zauważył.

Pamiętam dokładnie, co Doc miał tego wieczoru na sobie: jasny lniany garnitur, niebieską ko-

szulę i ręcznie malowany błękitny krawat. Był wysoki i smukły, miał gęste jasne włosy poprządkowane siwizną i był chyba najprzystojniejszym mężczyzną w całym lokalu (przynajmniej w moich oczach). Podczas kolacji opowiadał mi o gwiazdach, zwłaszcza o komecie, która właśnie przelatywała przez nasz zakątek wszechświata i miała się tu ponownie zjawić dopiero za dwieście lat. Doc miał rozległą wiedzę z różnych dziedzin i kochał życie, co bardzo mi się podobało, ponieważ ja od wielu lat tylko udawałam, że żyję.

Mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań, co sprawiało, że dobrze się przy nim czułam. Od początku. Umiał słuchać i - sama nie wiem dlaczego - wydawało mi się, że Doc akceptuje mnie taką, jaka jestem. Tego wieczoru, Jen, czułam się tak, jakbym w końcu wróciła do domu. Potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest? Mam nadzieję, że tak.

Chyba muszę Ci wyjaśnić, dlaczego aż do dziś nic nie wiedziałaś o Doku. Zresztą to wcale nie jest jego prawdziwe imię, ale doskonale do niego pasuje (może dlatego, że w niczym nie przypomina doktora), a ja lubiłam tak się do niego zwracać, ponieważ nikt inny nie znał tego imienia. Była to jedna z naszych tajemnic - jak się okaże, jedna z wielu.

Tego lata spotkaliśmy się jeszcze kilka razy: przypadkiem, a czasem trochę pomagając przypadkowi. Chyba zakochaliśmy się w sobie, zanim poznaliśmy się na tyle dobrze, żeby się do tego przyznać. Myślę, że ja pierwsza obdarzyłam go uczuciem, ale Doc niedługo pozostawał w tyle i wkrótce pokochał mnie tak jak ja jego.

Jennifer, wiem, jak bardzo wciąż rozpaczasz z powodu śmierci Danny'ego. Doskonale to rozu-

miem. Nikt nie może Ci powiedzieć, jak długo powinnaś go opłakiwać. Chcę Cię prosić tylko o jedno: nie zamykaj serca na miłość. Bardzo, bardzo mi na tym zależy, moja słodka, mądra, cudowna dziewczynko. Dlatego piszę te listy.

Proszę, nie zamykaj serca na miłość, bo to największy skarb.

Teraz przerwij czytanie i zastanów się nad tym, co Ci w tych listach napisałam, nie traktuj one bowiem tylko o moim życiu, Jen. Mówią także o Twoim.

Część druga

Początki miłości

ROZDZIAŁ 23

Bez trudu dostosowałam się do cudownie spokojnego życia w Lake Geneva. Czułam się tu lepiej, niż mogłam się spodziewać.

Wszędzie spotykałam przyjaciół Sam. Gdybym chciała, mogłabym co wieczór jadać kolację u kogo innego. Czułam się tak, jakbym była na wakacjach. Prócz tego - rzecz jasna - że Sam była chora, a ja nie wiedziałam, czy wyzdrowieje.

Któregoś dnia wczesnym popołudniem usiadłam w kuchni i podłączyłam swój laptop do Internetu. W mojej skrzynce było pełno listów od czytelników: wielu z nich pisało, że za mną tęsknią i mają nadzieję, iż mam się dobrze.

Cieszę mnie takie sygnały od czytelników. Są najmilszym elementem mojej pracy, siłą napędową dalszych moich poczyniń. Jeśli udawało mi się poruszyć uczucia czytelników, chętnie kupowali „Trib”. Przed godziną rozmawiałam z moją szefową. Ustaliłyśmy, że na razie będę pisać z Lake Geneva: felieton będzie się składał z siedmiuset pięćdziesięciu słów, dostarczę trzy felietony tygodniowo, czyli tak jak zwykle. A jednak zupełnie inaczej.

Włączyłam edytor tekstu i zaczęłam analizować kilka nowych pomysłów, jednakże moje myśli bez przerwy biegły do Sam. Przypomniła mi się też moja mama, która nie żyje - chociaż powinna żyć. I oczywiście Danny. Zawsze o nim

myślałam... no, prawie zawsze. Potem postawiłam tamę wspomnieniom. Musiałam.

Usłyszałam ciche pukanie do tylnych drzwi. Na progu stał Brendan Keller. Nie widziałam go od kilku dni i byłam zaskoczona, że pojawił się tak nagle.

- Może byśmy się gdzieś wybrali? - spytał z uśmiechem na ustach.

ROZDZIAŁ 24

- Chętnie - powiedziałam ku obopólnemu zaskoczeniu.

Potem, nie czekając, aż któryś z nas zmieni zdanie, wyszłam za próg. Zresztą i tak nie miałam nastroju do pisania... albo raczej wpatrywania się w pusty ekran komputera.

- Podwójny koktajl czekoladowy - zaczął Brendan.

Od razu wiedziałam, o co mu chodzi.

- W „Daddy Maxwell's” - dokończyłam, a na moich ustach pojawił się promienny uśmiech.

„Daddy Maxwell's Arctic Circle Dinner” to pomalowana na biało knajpa w kształcie igloo z markizami w niebieskie paski i doskonałą kuchnią. Nawet jeśli lokal nie był zbyt elegancki, niedostatki wystroju nadrabiał naprawdę dobrym jedzeniem. Znajdował się trzy kilometry od Knollwood Road i można tam było dotrzeć w ciągu trzech minut.

Wszystko wyglądało tak jak za czasów naszego dzieciństwa - wciąż był to lokal, do którego warto wpaść. Usiedliśmy przy stoliku obok okna i pomachaliśmy na Marię, nową, bardzo sprawną kelnerkę papy Maxwella. Przyjęła nasze zamówienie, a potem zniknęła w kuchni.

Parę minut później zerknęłam znad swojego wegetariańskiego hamburgera na talerz Brendana. Zamówił koktajl czekoladowy i danie specjalne. Był to apetyczny omlet w sty-

lu południowym - trzy jajka z cebulką z grilla, „zabójcze” frytki i dodatkowa porcja cheddara.

- Jesteś lekarzem - przypomniałam mu.

- Raz się żyje! - zawołał i uśmiechnął się szeroko. - Odwagi, Jennifer. Skosztuj. I omletu, i koktajlu.

Wybuchnęłam śmiechem, po czym sięgnęłam widelcem do talerza Brendana i uniosłam do ust kawałek parującego omletu. Po chwili skubnęłam następny kęs.

I wypięłam łyk koktajlu czekoladowego.

W końcu Brendan zamówił dla mnie omlet i koktajl.

- I tak jesteś za chuda - oznajmił.

Była to jedna z najmiłszych uwag, jakie ostatnio słyszałam.

Jedliśmy niespiesznie. Potem zamówiliśmy kawę. Byłam zaskoczona, że potrafię jeszcze cieszyć się chwilą. Opowiadaliśmy sobie w skrócie, co nam się przydarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Wspomniałam mu w kilku słowach o Dannym, ale już wiedział. Brendan wyznał, że od półtora roku jest rozwiedziony: jego była żona miała romans ze swoim współnikiem w kancelarii adwokackiej.

- Trudno uwierzyć, że ma belle Michelle mogła zakochać się w koledze z biura - uśmiechnął się. - Była... to znaczy, jest pracoholiczką.

Skinęłam ze zrozumieniem głową i poczułam się winna, bo Danny często i nie bez racji nazywał mnie pracoholiczką. Ogarnął mnie smutek. Gdy Brendan to zauważył, dotknął mojej dłoni. Zapewniłam go, że wszystko w porządku, i instynktownie cofnęłam rękę. Może więc nie wszystko było w porządku?

- Muszę wracać - oznajmiłam.

- Zgoda - powiedział Brendan. - Chodźmy.

Gdy byliśmy już w samochodzie, wyjaśniłam Brendanowi, że piszę następny felieton i prawdopodobnie będę siedziała nad nim przez pół nocy.

- Rozumiem - uśmiechnął się. - Jednym słowem: spływaj.

- Nie, nie, absolutnie - zapewniłam. - Po prostu... jak by to powiedzieć... sływaj.

Wybuchnął śmiechem.

Gdy tylko pożegnaliśmy się przed domem Sam, wybrałam się na dwudziestominutowy bieg po krętych uliczkach wokół Knollwood. Wciąż ważyłam tyle co w czasie studiów, czyli niecałe sześćdziesiąt kilogramów, ale chciałam, żeby tak zostało, nawet jeśli Brendan powiedział, że jestem za chuda.

Podczas biegania trochę o nim myślałam. Był zabawny i niewątpliwie inteligentny. Wydaje się również, że słucha, gdy się do niego mówi, chociaż większość mężczyzn ma z tym poważne problemy. Musiał jednak mieć jakieś tajemnice, przeżycia, jakiś bagaż doświadczeń. Co on tak naprawdę robi tu, nad jeziorem? Próbuje dojść do siebie po rozwodzie? Prawdę mówiąc, jest zbyt przystojny, czarujący i miły, by żyć w samotności.

Gdy wróciłam do domu, wzięłam prysznic, poddając rozpaloną głowę pod masaż gorącego strumienia wody. Potem włożyłam szorty i podkoszulek, zrobiłam sobie mrożoną herbatę i wyszłam na werandę z kilkoma listami Sam.

Usiadłam po turecku na drewnianej podłodze, a gdy poczułam ciepłe promienie słońca, otworzyłam kolejną kopertę zaadresowaną do mnie starannym piśmem babci.

ROZDZIAŁ 25

Kochana Jen!

Gdy byłaś uroczą i słodką małą dziewczynką, bardzo rozpaczałaś, gdy wakacje dobiegały końca. Tak było każdego lata. Póki nie wymyśliłam sposobu, który ułatwiłby Ci wyjazd.

W ostatnim dniu wakacji dawałam Ci wielki stój po majonezie i wysyłałam Cię nad jezioro, żebyś mogła „zabrać plażę do Madison”.

Wiedziałam, że w domu chętnie będziesz oglądać gładkie, duże jak pięść czarnoszare kamienie, które znalazłaś, wędrując na bosaka po płyciźnie. Tak samo jak jasne otoczaki, które woda wyrzuca na brzeg. Oczywiście, mogłaś jeszcze zabrać ze sobą piasek i zimną, czystą wodę z jeziora. Z rozczuleniem obserwowałam kiedyś, jak próbujesz zmieścić w słoju po majonezie całe wakacje.

Pewnego ranka pod koniec sierpnia długo nie mogłaś sobie poradzić z tym zadaniem.

- Babciu Sam, czy słoik jest już pełen? - dopytywałaś się.

Po jakimś czasie zrozumiałaś, że jeśli chcesz nazbierać jak najwięcej, najpierw musisz włożyć do słoja największe kamyki, a potem w wolną przestrzeń między nimi wsunąć mniejsze i muszelki.

Chociaż słoje wydawał się już pełen po brzegi, wciąż jeszcze mogłaś wsypać do niego kilka garstek piasku.

Wreszcie, gdy wydawało się, że na nic nie ma już miejsca, zanurzyłaś słoje w jeziorze i wypełniłaś swoją plażę wodą. Sprytna dziewczynka!

Jak się okazuje, Jenny, życie bardzo przypomina napełnianie słoja plażą. Nie chodzi o to, żeby zmieścić w nim wszystko, ale o to, by najpierw zatroszczyć się o najważniejsze rzeczy - wielkie, piękne kamienie - najwartościowszych ludzi i najpiękniejsze przeżycia, a sprawy mniej ważne dopasować do nich.

Inaczej na to, co najlepsze, może nie starczyć miejsca.

Myśląc o dużych kamieniach, widzę, jak bardzo z biegiem lat zmieniało się to, co było dla mnie najważniejsze. Dawniej starałam się przede wszystkim zadowalać innych ludzi: między innymi Twojego

dziadka i moją teściową. Następne ważne dla mnie wtedy sprawy - to bywanie na przyjęciach i utrzymywanie w domu takiego porządku, aby odpowiadał wymaganiom wojskowych inspekcji sir Charlesa.

Odkąd przede wszystkim staram się sprawiać przyjemność samej sobie, na pierwszym miejscu stoją dużo ważniejsze sprawy. Ludzie, których kocham. Moje zdrowie. Jak najpełniejsze przeżycie każdego dnia. Aktor Danny Kaye powiedział kiedyś: „Życie jest jak ogromne płótno. Rzuć na nie tyle farby, ile zdołasz”. Podobna mi się ta myśl. Co ważniejsze, na ile to możliwe, staram się wcielać ją w życie.

Wstaję wcześniej rano, żeby zobaczyć wschód słońca. Wkładam pączki kwiatów do małych wazoników i rozstawiam po całym domu, żeby wszędzie widzieć rozkwitające kwiaty. Karmię sójki orzeszkami ziemnymi w łupinach, ponieważ lubią dostawać jedzenie opakowane jak prezent, i nigdy nie nudzi mnie obserwowanie, jak próbują wziąć do dzióbka kilka orzeszków jednocześnie. Czytam dobre, mądre książki, a gdy nie mogę spać, wrzucam kilka polan do kominka i oglądam powtórki odcinków serialu „Prawo i porządek”.

I jeszcze coś. Raz w miesiącu przygotowuję wielką misę makaronu z sosem pomidorowym i zapraszam na kolację samotnych przyjaciół, którzy lubią porozmawiać przy zwykłym domowym posiłku. Dużo i głośno się śmiejemy, a ja mam nadzieję, że wracając samochodami do domów, za bardzo o mnie nie plotkują.

Jeśli chcesz wiedzieć, Doc zawsze bywa na tych kolacjach. Tylko nikt nie wie, że to on.

ROZDZIAŁ 26

Droga Jen!

Tym razem opiszę Ci zabawne wydarzenie.

Niedawno wróciłam z popołudniowej wyprawy do miasta i zorientowałam się, że tylny brzeg spódnicy zaczepił mi się o gumkę rajstop i tak chodziłam cały czas. Robiłam zakupy w sklepie spożywczym i żelaznym, byłam w „Daddy Maxwell's”, a mój pióropusz wciąż powiewał na wietrze. Nikt nie zwrócił mi uwagi. To dopiero historia! A teraz myśl, która bardzo mi się podoba, Jen, chociaż sporo wody upłynęło, nim do niej doszłam. Jeśli potrafisz śmiać się z czegoś, co ci się przydarzyło, po upływie czasu, to znaczy, że potrafisz śmiać się od razu.

Rzeczywistość prawie nigdy nie jest aż tak straszna, jak się początkowo wydaje. Wyluzuj się, dziewczyno! Twoje felietony w „Chicago Tribune” są bardzo zabawne, ale uważam, że w życiu też czasem mogłabyś się trochę pośmiać. Czytałam gdzieś, że śmiech wyzwala pewne korzystne związki chemiczne w mózgu. Człowiek czuje się lepiej, a w dodatku może to mieć za darmo.

ROZDZIAŁ 27

Rozbawiła mnie historyjka Sam, zaraz jednak radosny nastroj przysnął. Łzy płynęły mi po policzkach. Tak bardzo za nią tęskniłam, że nie mogłam dłużej tego znieść. Nie wystarczyło mi odwiedzanie jej w szpitalu dwa razy dziennie. Czytając jej listy, marzyłam, żeby usłyszeć jej głos, nawet gdyby

miał to być ostatni raz. Musiałam porozmawiać z Sam o pewnych sprawach.

Na przykład kim jest Doc? Czy go znam? Czy jeszcze żyje, a jeśli tak, to czy odwiedza Sam w szpitalu? Czy go tam spotkałam?

Pamiętam, jak w wieku pięciu czy sześciu lat próbowałam zamknąć jezioro w słoju po majonezie. Dziwiło mnie, że Sam nie tylko to sobie przypomniała, ale jeszcze potrafiła znaleźć w tym głębszy sens. Myśl ta sprawiła, że serce mi się ścisnęło.

Zeszłam nad jezioro i palcami stóp wygrzebałam piękny czarny kamyk o ostrych brzegach. Zabrałam go do domu i położyłam na ławie, na rosnącej kupce listów Sam.

Tuż obok mojego laptopa, który cicho szumiał w oczekiwaniu, kiedy znowu zacznę pisać.

Masz dzień na napisanie następnego felietonu, Jennifer - przypomniałam sobie.

Przede wszystkim skasowałam tekst, który zaczęłam pisać tego ranka. Miałam nowy pomysł, ale nie wiedziałam, jak zacząć.

W końcu napisałam:

Po raz ostatni widziałam swoją babcię Sam, gdy odjeżdżałam sprzed jej domu w Lake Geneva po długim weekendzie z okazji Święta Pracy*.

Sam wyglądała na zdrową i szczęśliwą, gdy jednak przytuliła mnie, wydało mi się, że coś chodzi jej po głowie, tylko nie wie, jak mi to powiedzieć. Po chwili dziwne wrażenie minęło, a ja nie spytałam, co to było.

Wsiadłam do samochodu, a gdy dotarłam na koniec podjazdu, jak zwykle nacisnęłam klakson.

* Święto Pracy - Labor Day - jest obchodzone w Stanach Zjednoczonych w pierwszy poniedziałek września (przyp. tłum.).

Skąd mogłam wiedzieć, że gdy zobaczę babcię następnym razem, będzie pogrążona w śpiączce i może już nigdy więcej ze mną nie porozmawia?

Gdy tak mozolnie pisałam swój tekst, skończył się dzień i zapadł zmierzch. O pierwszej w nocy wciąż go poprawiałam i wygładzałam, zwierzałam się czytelnikom, jak bardzo się cieszę, że Sam spisała dla mnie swoje myśli. Ilu moich czytelników miało tyle szczęścia? Ilu zna historię swoich rodziców i dziadków? Kto tak naprawdę opowiada o sobie swoim dzieciom? Ile tracą dzieci, nie znając przeszłości rodziców? Czymże tak naprawdę jesteśmy, jeśli nie sumą tego, co się nam przydarzyło?

Pisanie felietonu w pewien sposób przypomina prucie swetra. Złapałam jedną myśl, a potem zdania same popłynęły swobodnym, spokojnym strumieniem. Oczywiście przekroczyłam limit siedmiuset pięćdziesięciu słów musiałam więc skracać i poprawiać tekst.

Gdy uznałam, że to wszystko, na co mnie stać, zakończyłam apelem do czytelników, by podzielili się ze mną opowieściami o swoich najbliższych. Już cieszyłam się na myśl o listach, które wkrótce zapełnią moją skrzynkę, o historiach, które będę miała zaszczyt przeczytać, sekretach rodzinnych, które czytelnicy zechcą mi powierzyć.

O drugiej w nocy, nim zdążyłam całkowicie oślepnąć od wpatrywania się w ekran, nacisnęłam klawisz SEND. Po ułamku sekundy mój felieton znajdował się w skrzynce Debbie, w „Trib”.

Dopiero wtedy położyłam się do łóżka i łzy popłynęły mi z oczu. Nie z powodu smutku. To piękne - przeżywać intensywne uczucie i znaleźć odpowiednie słowa, by je opisać.

Bo czymże tak naprawdę jesteśmy, jeśli nie sumą tego, co się nam przydarzyło?

ROZDZIAŁ 28

Obudziłam się podniecona i do pewnego stopnia szczęśliwa. Napisałam felieton - najlepszy, jaki w obecnej sytuacji mogłam napisać - i miałam wolny dzień. Hurra!

Mój niebieski jednoczęściowy kostium kąpielowy wciąż tkwił w torbie, tam gdzie go wsunęłam, gdy pakowałam rzeczy w Chicago. Włożyłam go i szybko wykonałam kilka podstawowych czynności. Potem zrobiłam coś zupełnie nieoczekiwanego - poszłam poszukać Brendana.

Dom jego wujka błyszczał w promieniach porannego słońca, światło odbijało się we wszystkich szybach. Za domem widać było spokojne, połyskujące jezioro.

Zapukałam do drzwi kuchennych, ale nikt nie odpowiedział, ostoniłam więc oczy dłońmi i zajrzałam do środka przez szybę.

Byłam lekko zawiedziona, ponieważ Brendana nie było, a ja miałam ochotę na odrobinę rozrywki.

W końcu wypatrzyłam go przez okno salonu, lecz gdy przyjrzałam mu się nieco uważniej, dosłownie zważyło mnie z nóg. Brendan kłęczał na środku pokoju i miał złożone ręce.

Modlił się.

ROZDZIAŁ 29

Odwrociłam się straszliwie zmieszana, zesłam po schodach i ruszyłam przez trawnik. Nagle za moimi plecami z hukiem otworzyły się i zamknęły drzwi. Gdy się obejrzałam, zobaczyłam Brendana. Nie! Tylko tego mi brakowało!

- Cześć, Jen. Wydawało mi się, że ktoś pukał. Chcesz popływać?! - zawołał.

- Hm. Jasne - powiedziałam.

Uśmiechnął się do mnie bez cienia skrępowania, potem rzucił hasło do wyścigów i ruszył pędem w stronę jeziora.

Zrobiłam to, co podpowiadał mi instynkt - pobiegłam za nim. Jak błyskawica pokonałam trawnik, a potem dziesięciometrowy pomost. Gdy dotarłam do jego końca, wskoczyłam do wody. Czy mogłam postąpić inaczej?

Odbiłam się od dna jeziora, wypłynęłam na powierzchnię i zaczęłam gonić Brendana, który zmierzał w kierunku boi jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów przed nami. Był bardzo dobrym pływakiem, nic więc dziwnego, że przegrałam z kretešem.

- No i co - zaśmiał się Brendan. - Kto jest niezgułą?

Oboje uczepiliśmy się boi i kołysaliśmy się na falach, które zostawiła za sobą wyjątkowo głośna motorówka, krążąca po jeziorze. Przymrużyłam oczy i zerknęłam na niego spod mokrych rzęs. Całkiem nieźle pływam, ale palenie z pewnością nie wpływa dobrze na moją kondycję, a styl dowolny Brendana jest bezkonkurencyjny.

- Mogłeś pozwolić mi wygrać - burknęłam. - Lub przy najmniej nie aż tak przegrać.

Wzruszył ramionami.

- W tym kraju przecenia się wagę zwycięstwa. Chociaż muszę przyznać, że dobrze pływam.

- Chyba masz rację - powiedziałam. - Za to nie docenia się poranków nad jeziorem.

Woda miała idealną temperaturę, na twarzy i ramionach czułam łagodne ciepło promieni słonecznych.

- Teraz przypominam sobie, jaka byłaś dawniej, Smyku. Nadęta i zachwycona sobą.

No proszę! Widocznie dotąd udawało mi się wywieść go w pole.

- Wciąż taka jestem - powiedziałam, pryskając mu wodą w twarz. - Hej! - rzuciłam i uśmiechnęłam się uroczo. - Chyba mam pomysł.

Brendan przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Na następny felieton?

ROZDZIAŁ 30

- Wybierzmy się na żagle - zaproponowałam.
- Ty? Na żagle? Wydawało mi się, że masz po uszy roboty.
- Prawdę mówiąc, właśnie napisałam jeden z moich najlepszych felietonów.
- Szampana! - zawołał Brendan.
- Nie spiesz się tak bardzo. Na wszystko przyjdzie czas.

Powoli coraz lepiej poznawałam Brendana. Muszę przyznać, że wyrósł na całkiem miłego faceta, interesującego i zabawnego, a przy tym wrażliwego na potrzeby innych. Zachęcał mnie, bym opowiadała o Sam, gdy tylko miałam ochotę, był opiekuńczy i dobrze zorganizowany. Przygotował na przykład kanapki na nasz nieprzewidziany wypad, przyniósł dla mnie czapkę z długim daszkiem, żebym się nie spaliła w słońcu. Prawdę mówiąc, to było ujmujące.

Szybko zorientowałam się, że wieloletni pobyt w Indianie nie zaciążył na umiejętnościach żeglarskich Brendana. W dziesięć minut przygotował żaglówkę wuja i już przy pierwszej próbie wyprowadził ją z doku.

Była to ciężka, szybka i chybotliwa łódź płaskodenna. Dobrze znałam ten typ, bo podczas wakacji często pływałam pięciometrową żaglówką mojego dziadka na przeciwległy kraniec ponad dziesięciokilometrowego jeziora. Brendan zajął się głównym żaglem, ja opuściłam miecz i zaopiekowałam się kliwrem. Nasze ruchy były zgrane, jakbyśmy żeglowali razem od dawna.

Spędziliśmy cudowny dzień na wodzie. Chłodna bryza łagodziła gorące promienie przymglonego słońca, temperatura powietrza była idealna.

Brendan opowiadał mi o pięknych starych domach stojących wzdłuż linii brzegowej. Nie był tu od bardzo dawna, tak że zachwycał się nimi, jakby widział je po raz pierwszy. Miły nastrój prysnął w ułamku sekundy, kiedy nagle rozległo się

wycie ślizgacza, a potem para nastolatków zaczęła zataczać kręgi wokół nas. Nasza łódź niebezpiecznie się rozkołysała. Sięgnęłam po linę kliwra, Brendan próbował własnym ciałem zrównoważyć przechył... ale było już za późno. Żaglówka przewróciła się, a my wpadliśmy do wody.

- Nic ci się nie stało? - usłyszałam, gdy wypłynęłam na powierzchnię.

- Nie. A tobie?

- Żyję. Nie martw się. Zapamiętałem numer tych małałatów.

Roześmiałam się. Tymczasem Brendan ustawił żaglówkę i pomógł mi wejść na pokład. Wkrótce znów płynęliśmy, przemoczeni do suchej nitki, ale szczęśliwi. Reszta popołudnia pozostawiła w mojej pamięci same miłe wrażenia. Przepłynęliśmy przez Narrows, minęliśmy Lake Geneva Country Club i Black Point, wybudowaną pod koniec dziewiętnastego wieku oryginalną letnią chatę z trzydziestoma pokojami dla gości. Gdy nasze twarze były ogorzałe od wiatru i słońca, wróciliśmy na Knollwood Road, żeby się przebrać.

Brendan zaproponował mi kolację.

Przyjęłam zaproszenie.

ROZDZIAŁ 31

Miałam w szafie sukienkę odpowiednią na taką okazję - małą czarną, która świetnie podkreślała moją lekką opaleniznę. To nie jest randka - wmawiałam sobie, nakładając delikatny makijaż. - Tylko spotkanie po latach. Pogawędka starych przyjaciół.

- O rany! Świetnie wyglądasz! - zawołał Brendan, gdy przyjechał, żeby zabrać mnie na... obojętne, co to miało być.

- Ty też nieźle się prezentujesz! - zapewniłam go.

Miał na sobie wyprasowane džinsy, niebieski kaszmirowy sweter i mokasyne na gołych stopach. Był ładnie opalony.

- Włóczęga plażowy do usług - uśmiechnął się i puścił do mnie oko.

- Naprawdę mi się podobasz.

- Chyba dzięki mokasynom.

Zjedliśmy kolację na tarasie French Country Inn. Świeca migotała na stoliku, fale jeziora uderzały o pomost. Przy smacznie przyrządzonych kaczych piersiach i dzikim ryżu odrabialiśmy zaległości. Brendan opowiedział mi trochę o swojej rodzinie i spytał o moją. Odparłam, że rodzice nie żyją.

- Teraz została mi już tylko Sam - skończyłam.

- Przykro mi z powodu twoich rodziców. I wszystkiego, co przeżyłaś.

- Dziękuję. Tak czy inaczej znów jestem nad jeziorem.

Przy kawie poruszaliśmy już nieco lżejsze tematy. Było sporo żartów i śmiechu; rozumieliśmy się tak dobrze, że byłam tym mocno zdziwiona. Spodziewałam się niezręcznych przerw w rozmowie, ale nie było ich wiele. Jeśli się zdarzały, to bardziej przez moją nadmierną ostrożność.

Po kolacji nadszedł czas powrotu do domu. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, a może w końcu przyznałam się sama przed sobą, że to jednak była randka. Prawdę mówiąc, moja najlepsza randka od bardzo, bardzo dawna.

ROZDZIAŁ 32

Wcale tego nie planując, spędziliśmy razem prawie cały dzień. Teraz byliśmy pod moim domem. Staliśmy tak blisko siebie, że czułam zapach wody kolońskiej Brendana. Muszę natychmiast z tym skończyć, pomyślałam. Dla naszego wspólnego dobra.

Gdy ta myśl przebiegła mi przez głowę, wzięłam głęboki wdech, po czym odsunęłam od siebie wszystkie miłe wizje, które mogły prowadzić do poważnych kłopotów, zbyt poważnych, żebym umiała sobie z nimi poradzić. Cofnęłam się o krok.

- Zaprosiłabym cię na kawę - westchnęłam - ale muszę pisać felieton na jutro.

- W porządku - powiedział Brendan.

Usiadł na stopniach werandy i nic nie wskazywało na to, że ma zamiar wkrótce odejść.

- Chodź ze mną popływać albo usiądź na schodach i jeszcze raz wystaw twarz na wiatr. Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko nie pracuj już dzisiaj. Wcale nie musisz. Daj spokój, Jenny. Wyluzuj się.

To mnie trochę zaskoczyło. „Jenny, wyluzuj się”. Sam w jednym z listów napisała dokładnie to samo.

- Zgoda - powiedziałam. - Tylko nigdy nie mów do mnie „Jenny”. To forma zastrzeżona dla Danny'ego.

- Przepraszam. Opowiedz mi coś o nim, Smyku. Cały czas wyraźnie unikałaś tego tematu.

- Może kiedyś, ale nie dzisiaj - obiecałam. - Zrobię to, gdy będę gotowa.

Opowiem ci o Danny'm i innych rzeczach - pomyślałam.

Wydawał się jakiś speszony. A może zmartwiony?

Usiadłam obok na stopniu.

- O co chodzi? - spytałam.

- Och, o nic. Po prostu chciałem komuś powiedzieć, że właśnie dzisiaj rzuciłem pracę - wyznał w końcu, zagryzając dolną wargę.

Odchyliłam głowę do tyłu.

- Rzuciłeś pracę? Dlaczego? Co się stało, Brendanie?

- Nic wielkiego. Zbyt długo wpatrywałem się w niewyraźne cienie na kawałku kliszy. Uznałem, że pora na zmianę priorytetów - wyjaśnił.

Potem spojrział na mnie martwym wzrokiem, który przykuł mnie do miejsca.

Instynktownie odwróciłam głowę. Księżyc rzucał na jezioro jasny blask. W zaroślach cykały świerszcze. Siedzieliśmy bardzo blisko siebie. Za blisko.

- Naprawdę muszę już iść - westchnęłam.

Wstałam.

- Dzięki za miły, pogodny dzień.

Brendan również się podniósł. Był naprawdę przystojny i wspaniale zbudowany. Pochylił się i pocałował mnie w czoło, co było dziwnie miłe. Potem uroczo się do mnie uśmiechnął.

- Dobranoc, Jennifer. Ja też się świetnie bawiłem.

Wkrótce leżałam w łóżku, tym samym, w którym sypiałam od lat. Na nocnej szafce stała herbata miętowa. Patrzyłam w sufit, a po mojej głowie krążyły sprzeczne myśli. Spędziłam z Brendanem miły wieczór. I na tym koniec. Dlaczego? Bo tak.

Otworzyłam następny list od Sam.

ROZDZIAŁ 33

Jennifer!

Początkowo między mną a Dokiem nie działo się nic, o czym warto by pisać. Żadnych pieśzczoł ani tęsknych spojrzeń podczas przypadkowych spotkań. Wszystko było takie skomplikowane. Żona Doka nie żyła już od kilku lat, ale ja wciąż byłam mężatką. Moje dzieci już od jakiegoś czasu mieszkały poza domem, natomiast Doc nadal wychowywał swoje. Podczas tamtego pamiętnego pierwszego lata wydarzyło się jednak coś, co było dla nas poważnym sprawdzianem.

Pewnego wieczoru, gdy Twój dziadek po golfie jadł ze swoimi kumplami kolację w Medinah na obrzeżach Chicago (tak mi przynajmniej powiedział), Doc dzięki swoim znajomościom załatwił dla nas wejście do Yerkes Observatory. W tamtych czasach było to obserwatorium czysto naukowe, znajdował się w nim największy refraktor na świe-

cie i nie wpuszczano do środka nikogo z zewnątrz. W nocy nikt nie miał prawa tam przebywać.

Wyobraź więc sobie, jak oboje przemykamy chyłkiem przez trawnik obok parkingu, potem, trzymając się za ręce, zbliżamy się do głównego budynku, a na tle nocnego letniego nieba widzimy trzy ogromne kopuły. Kiedy weszliśmy po szerokich schodach, znaleźliśmy się w najpiękniejszym marmurowym foyer, jakie w życiu widziałam.

Doc miał latarkę. Wędrowaliśmy tylnymi schodami, póki nie dotarliśmy do drzwi, za którymi znajdowało się pomieszczenie z największą kopułą. Nie uwierzysz, jak ogromna wydaje się od wewnątrz. Przypomina okrągły stadion sportowy. Stojący na środku teleskop przez otwór w kopule skierowany był na kobaltowe niebo.

- Uważaj, Samantho - powiedział Doc. - Gotowa?

- Chyba tak.

Wcale nie byłam pewna.

Pociągnął dźwignię. Podłoga, na której staliśmy - kwadratowa platforma o boku mniej więcej dwudziestu metrów - zaczęła się unosić, a my wraz z nią. Po chwili mogliśmy spojrzeć w okular teleskopu.

Był piątkowy wieczór, zaczynał się weekend, wiedziałam, że Charles wkrótce przyjedzie z Chicago. Mimo to Doc i ja ponad godzinę staliśmy pod ogromną kopułą. Gwiazdy lśniły i mrugały, jakby wszechświat dawał dla nas przedstawienie. Doc wyjaśnił mi, że to, co widzimy na niebie, w rzeczywistości wydarzyło się setki lat temu. Później powiedział, że od bardzo dawna chciał być ze mną sam na sam.

- Ja też o tym marzyłam - wyznałam.

Marzyłam, modliłam się, wyobrażałam to sobie od kolacji w hotelu Como.

Pocałował mnie wreszcie pod miliardami mrugających gwiazd. Potem nasze usta znowu się spotkały, tym razem na dłużej. Byliśmy parą zakochanych, którzy nie mogli być razem z powodu mojego małżeństwa i naszych rodzin, zwłaszcza jego dzieci, które mieszkają jeszcze z nim.

W końcu dojechaliśmy do skrzyżowania Knollwood Road... Nie pocałował mnie, gdy wysiadałam z auta, chociaż, na Boga, bardzo tego pragnęłam.

Gdy weszłam do domu, okazało się, że Charles śpi. Bałam się, że będę musiała coś zmyślać, ale niepotrzebnie się martwiłam.

Rozebrałam się po cichutku, wśliznęłam do łóżka i spojrzałam Charlesowi w twarz. Ku swojemu zaskoczeniu, nie czułam żadnych wyrzutów sumienia z powodu swojej wyprawy z Dokiem. Naszła mnie natomiast interesująca myśl. Zastanawiałam się, czy Charles rankiem zauważy, że coś się we mnie zmieniło. Czy dostrzeże, że kiedy on spał, ja w końcu zrozumiałam, co to szczęście.

ROZDZIAŁ 34

Za dwadzieścia siódma zadzwonił telefon przy moim łóżku. Zaskoczyło mnie to. W słuchawce zabrzmiał głos Brendana:

- Obudź się, Jennifer. Jezioro wzywa.

Nie wiedziałam, jak powinnam zareagować, uśmiechnęłam się więc i szybko włożyłam kostium kąpielowy. Czułam się, jakbym znów była dzieckiem, i bardzo mi się to podobało.

Brendan czekał już na mnie przed domem. Pobiegliśmy w stronę jeziora, wydając po drodze dzikie okrzyki, które w tej chwili wydawały się wyjątkowo sensowne. O tej porze dnia woda była zimna, wręcz lodowata.

- Nie ma jeszcze siódmej - wyrzuciłam z siebie, płynąc za nim i z trudem poruszając sztywnymi rękoma.

- Doskonała pora na pływanie. Mam teraz nową mantrę: „Przeżywaj każdy dzień od chwili, kiedy słońce wstanie, dopóki nie opadną ci powieki”.

W porządku. Czy można nie docenić takiej filozofii, zwłaszcza gdy jego nastrój jest taki zaraźliwy? Dopłynęliśmy do pomostu Sam i wydzwignęliśmy się na deski. Brendan strząsnął z siebie trochę wody, potem położył się na plecach. Poszłam w jego ślady. Leżąc obok siebie, wpatrywaliśmy się w poranne niebo. Prawdę mówiąc, było cudownie.

- Człowiek w takich chwilach chętnie cofa się w czasie - powiedziałam.

- Albo wybiega naprzód - mruknął.

Zdałam sobie sprawę, że całym ciałem - od ramienia aż po kostki - dotykam ciała Brendana. Poczułam dziwne mrowienie, ale się nie odsunęłam.

Kiedy odwrócił się twarzą w moją stronę, starałam się unikać jego wzroku. Objął mnie i przyciągnął do siebie. Nie spodziewałam się tego, ale żar, który ogarnął moje ciało, niemal roztopił kostium kąpielowy.

Potem Brendan pocałował mnie w usta. Był to miły, naprawdę miły, długi pocałunek.

Odpowiedziałam tym samym.

Żadne z nas nie odezwało się słowem, i tak było najlepiej.

ROZDZIAŁ 35

Od tego poranka spędzałam z Brendanem coraz więcej czasu. Jeśli mam być szczerą, dobrze wiedziałam, co to jest - miły

przelotny letni romans. Byłam pewna, że i Brendan to wie. Zresztą nie robiliśmy „nic z tych rzeczy” - jak to się mówi.

Niemal każdego poranka pływaliśmy, przy okazji śmiejąc się i dokazując, potem na zmianę szykowaliśmy śniadania. Czasami do wspólnej zabawy dołączał wuj Brendana, Shep. Codziennie przed południem odwiedzaliśmy Sam; wieczorem, koło siódmej, byłam u niej jeszcze raz. Dużo mówiłam do Sam, czasami nawet kilka godzin. Opowiadałam, co u mnie słysząc, i pytałam o jej listy.

Pewnego dnia doktor Brendan Keller i doktor Max Weisberg naradzali się przy łóżku Sam nad stanem jej zdrowia, a ja czekałam na nich na korytarzu. Kiedy wyszli, Brendan miał poważną minę. Zauważył, że bacznie mu się przyglądam, i odwrócił wzrok.

Muszę przyznać, że liczyłam na jakieś dobre wieści. Może uznałam, że skoro czytam listy Sam, wyraźnie słyszę jej głos i niemal przez cały czas mam ją przed oczami, jej stan powinien, wręcz musi się poprawić. Jej stan wcale się nie poprawi - pomyślałam. Widzę to w ich oczach. Tylko nie chcą mi o tym powiedzieć.

- Sam jest silna - zaczął Brendan, kładąc mi rękę na ramieniu. - Całkiem nieźle się trzyma, Jen. Zapewne nie bez powodu.

Kiedy opuściliśmy szpital, Brendan wciąż próbował podnieść mnie na duchu. Widziałam, że jest wrażliwy na ludzkie cierpienie, wydawało mi się również, że jest dobrym lekarzem. W takim razie dlaczego zrezygnował z pracy?

- Może wybralibyśmy się na przejażdżkę? Postaram się, żeby było zabawnie.

Prawdę mówiąc, był wymarzony dzień na wyprawę samochodem. Włączyliśmy więc odtwarzacz kompaktowy, puściliśmy największe przeboje Jamesa Taylora, Arethy i Elli Fitzgerald, a potem ruszyliśmy drogą, która omijała Chicago i prowadziła do South Bend w Indianie. Przed dwunastą byliśmy na miejscu.

- Czekaj nas wspaniałe przeżycie - oznajmił Brendan i puścił do mnie oko.

Jego przyjaciel, jeden z trenerów Fighting Irish, zaprosił nas na trening drużyny Notre Dame. Kilkudziesięciu zawodników biegło po boisku, a my siedzieliśmy po turecku na przystryżonej murawie. Nigdy nie pasjonowały mnie mecze futbolu amerykańskiego pokazywane w telewizji, ale trening na żywo to zupełnie co innego. Błyskawiczne akcje oglądane z poziomu boiska robiły niesamowite wrażenie - tak samo jak stukot zderzających się kasków i ochraniaczy.

Spędziliśmy uroczę popołudnie - może dlatego, że w treningu brała udział drużyna, której kibicował Brendan. Potem Brendan pokazywał mi miejsca, w których mieszkał, zatrzymaliśmy się na chwilę przy jego starym domu, a potem mieszkaniu, do którego przeprowadził się po rozwodzie.

- Tam panuje taki nieład, że spaliłbym się ze wstydu - tłumaczył się.

Nie wstępując więc do niego, wróciliśmy do Lake Geneva. Wydało mi się to trochę dziwne, ale nie zmartwiło mnie szczególnie.

Następnego dnia to ja zrobiłam niespodziankę Brendanowi: zabrałam go do Yerkes Observatory. Próbowałam dopatrzeć się podobieństw między nami a Sam i Dokiem, dlatego bardzo chciałam się tam wybrać. Był środek dnia i pod ogromną kopułą snuły się tłumy ludzi, mimo to urzekła mnie magia tego miejsca.

Cały czas myślałam, czym ono było dla Sam i Doka. Zastanawiałam się też, kim jest Doc. Gdy znów będę mogła porozmawiać z Sam, zapewne zdradzi mi tę tajemnicę.

Pewnego poranka udało mi się załatwić dla nas miejsca na łodzi pocztowej, dwupoziomowym promie, który pływa wzdłuż linii brzegowej i dostarcza pocztę do domów nad jeziorem. Tego samego popołudnia w małym kinie w mieście obejrzelśmy kilka hitów filmowych - jeden po drugim. Mie-

liśmy już swój codzienny rytuał. Co wieczór po moim powrocie od Sam szliśmy na długi spacer ścieżką wokół jeziora.

Znajomość z Brendanem była zupełnie jak staroświecki wakacyjny romans - szybki, zniewalający i może trochę niemądry. Nawet jeśli tak, wydawało mi się, że oboje podchodzimy do tego tak samo: Brendan potrzebował mnie tak jak ja jego, ale tak samo jak ja nie chciał, aby nasza znajomość przerodziła się w coś poważnego.

Nawet mu to powiedziałam, gdy płynęliśmy promem.

Brendan roześmiał się.

- Ja jestem otwartą księgą, Smyku. A ty - wielką zagadką.

Jakiś czas później przydarzyła mi się najdziwniejsza rzecz pod słońcem. Nie napisałam felietonu! Po raz pierwszy zdarzyło mi się zrobić coś takiego, a raczej nie zrobić. Przeprosiłam Debbie i obiecałam, że uzupełnię zaległości, ale w głębi duszy odczuwałam wielką radość. Wyraźnie coś się we mnie zmieniało. Może zaczynam przeżywać każdy dzień od chwili, kiedy słońce wstanie, dopóki nie opadną mi powieki. Tego ranka opowiedziałam o wszystkim Sam i chociaż nie reagowała, wiedziałam, jaki - zdaniem babci - powinien być mój następny krok. Ona z pewnością tak właśnie by postąpiła.

ROZDZIAŁ 36

Tego popołudnia siedziałam z Brendanem na końcu pomostu Sam. Poruszałam palcami w wodzie. Brendan też.

Nadszedł czas, żebym mu zdradziła kilka tajemnic. Chciałam to zrobić. Byłam gotowa.

- To stało się na plaży w Oahu - zaczęłam cicho. - Danny lubił blask światła wielkiego miasta, więc gdyby to tylko od niego zależało, spędzalibyśmy wakacje w Paryżu albo Londynie. Zdecydowaliśmy się na Hawaje, ponieważ to ja chciałam tam jechać.

Westchnęłam i na chwilę wstrzymałam oddech.

- Tuż przed wyjazdem dotarła do mnie dramatyczna wiadomość o porwaniu dziecka. Koniecznie chciałam o tym napisać, toteż Danny pojechał beze mnie. Kilka dni później udało mi się wyrwać z Chicago. Tego samego dnia późnym popołudniem mój mąż wybrał się nad wodę... oczywiście sam.

Brendan przyglądał mi się w skupieniu. Próbowałam znaleźć odpowiednie słowa.

- Nie musisz mi tego mówić, Jennifer - szepnął.

- Muszę. Naprawdę. Bardzo chcę to z siebie wyrzucić, Brendanie. Opowiedzieć ci o tym, co się stało. Nie chcę już dłużej być wielką zagadką.

Brendan skinął głową i ujął moją dłoń. W ciągu kilku ostatnich tygodni coś się między nami zmieniło; zaczęłam ufać Brendanowi bardziej, niż mogłam się spodziewać. Został moim przyjacielem. A nawet kimś więcej.

- Na północnym brzegu Oahu, w miejscu zwanym Kahu, był piękny wieczór. Przeczytałam wszystkie prognozy po gody. Danny zdjął T-shirt i wbiegł do wody. Była wysoka fala, ale mój mąż był wysportowany i naprawdę dobrze pływał. Jedno z jego ulubionych powiedzonek brzmiało: „Spróbujmy, Jenny!” Zawsze potrafił mnie zmotywować.

Poczułam, że łzy płyną mi po policzkach, chociaż wcale nie chciałam płakać. Naprawdę. Zwłaszcza przy Brendanie.

- Był dobrym, troskliwym mężem... Tak dużo chciał jeszcze zrobić...

Głos mi się załamał. Nie wiedziałam, czy uda mi się dobrać do końca.

- Bardzo go kochałam... Bez trudu potrafię sobie wyobrazić sekunda po sekundzie wszystko, co się wtedy wydarzyło. Od półtora roku nawiedzają mnie okropne sny, w których wciąż od nowa patrzę, jak Danny umiera. Woła mnie. W ostatnim wysiłku woła moje imię.

Urwałam, żeby zebrać siły. Nagle zdałam sobie sprawę, że bardzo mocno ściskam dłoń Brendana.

- To była moja wina, Brendanie. Gdybym przyjechała na Hawaje wtedy, kiedy powinnam, Danny żyłby do dzisiaj.

Brendan trzymał mnie za rękę.

- Już dobrze, już wszystko dobrze - powiedział łagodnie.

- I jeszcze coś - szepnęłam tak cicho, że sama ledwo słyszałam swoje słowa. - Gdy wróciłam do Chicago, nie mogłam przestać płakać i bez przerwy myślałam o tym, co się stało. Wtedy przyjechała do mnie Sam i zajęła się mną z największą troskliwością, Brendanie.

Przez minutę nie mogłam mówić, ale zabrnęłam już za daleko, żeby teraz przerwać.

- Byłam w łazience. Nagle poczułam ostry ból; zgięłam się wpół i upadłam. Usłyszawszy mój krzyk, przybiegła Sam. Od razu wiedziała, że poroniłam. Tuliła mnie i płakała razem ze mną. Straciłam dziecko. Straciłam nasze dziecko, Brendanie. Byłam w ciąży i straciłam naszego maleńkiego „orzeszka”.

ROZDZIAŁ 37

Brendan długo trzymał mnie w ramionach. Potem musiałam jeszcze powiedzieć Sam „dobranoc”, więc koło wpół do dziewiątej pojechałam do szpitala. Brendan zaproponował, że wybierze się ze mną, ale powiedziałam mu, że wolę jechać sama. Zawiozłam Sam róże z ogrodu.

- Sam, obudź się. Spójrz - szepnęłam. - Koniecznie musisz zobaczyć swoje róże. Poza tym chcę z tobą porozmawiać. Niestety, nie zareagowała. Może nawet mnie nie słyszała? Włożyłam kwiaty do słoika, postawiłam na parapecie i ułożyłam w piękny bukiet. Potem odwróciłam się do Sam.

- Jaka szkoda, Sam. Tyle się dzieje.

Była kruchutka i blada. Strasznie się bałam, że ją stracę. Za każdym razem, kiedy przychodziłam do Sam, myślałam z lękiem, że może widzę ją po raz ostatni.

Przyciągnęłam krzesło do łóżka.

- Chcę ci zdradzić tajemnicę, Sam - wyznałam. - Jest tutaj, nad jeziorem, ktoś, kto przypadł mi do serca, chociaż staram się nie polubić go za bardzo. Ale jest taki miły, taki inteligentny. A przy tym co za prezencja! Wiem, wiem - żaden mężczyzna nie ma w sobie wszystkich tych cech.

Odczekałam chwilę, w nadziei że ta informacja dotrze do Sam.

- Pozwól, że będę mówić na niego „Brendan”. Ha, ha! Tyle że on naprawdę ma tak na imię. Mogłabym również nazywać go Doc, ponieważ jest lekarzem, doktorem. Pamiętasz, jak w dzieciństwie łąziłam krok w krok za Brendanem Kellerem? No cóż, teraz jest dorosłym człowiekiem. Mam do niego zaufanie, Sam. Opowiedziałam mu o Dannym i o dziecku. Nie wiem, co do mnie czuje. To znaczy, na pewno mnie lubi, ale trochę się pilnuje. Chyba oboje się pilnujemy. Może jest onieśmielony? Bo ja tak.

W końcu przestałam mówić, ujęłam dłoń Sam i przytrzymałam ją. Zachowywałam się jak człowiek, który nad czymś rozmyśla i boi się, że wszyscy słyszą jego myśli.

Bardzo mi zależy, żebyś poznała Brendana. Mogłabyś to dla mnie zrobić? - prosiłam w myślach.

ROZDZIAŁ 38

- Wiesz, to nasze lato nad jeziorem przypomina trochę bujanie w obłokach - powiedział Brendan z uśmiechem.

Działo się to nazajutrz wieczorem. Jechaliśmy do domu z kolacji w Lake Geneva Inn. Łało jak z cebra, za przednią szybą widać było ścianę deszczu. Miałam ochotę zaproponować Brendanowi, żeby zjechał i zatrzymał się na poboczu.

- To ty mówisz, że trzeba przeżywać każdy dzień od chwili, kiedy słońce wstanie, dopóki nie opadną nam powieki - przypomniałam mu.

Gdy dojechaliśmy pod dom Sam, szybko przebiegliśmy przez brukowane podwórko pod dach werandy. Jednym szarpnięciem otworzyłam drzwi.

- Zaczekaj. Przyniosę ręczniki - rzuciłam i weszłam do środka.

Byłam w połowie drogi do bieliźniarki, gdy zgasła lampka, a ja poczułam, że coś się pali. Oho!

Odsunęłam biodrem fotel od ściany i zobaczyłam w kącie białe futerko.

To była Euforia.

Wyraźnie przytrafiło jej się jakieś nieszczęście.

- Brendanie, szybko! - zawołałam.

Niemal natychmiast pojawił się obok mnie. Podniósł kotkę i delikatnie ułożył ją na środku chodnika. Zrobiło mi się niedobrze. Futerko wokół pyszczka Euforii było przypalone i zakrwawione. Wtedy zorientowałam się, że moja ulubienica nie oddycha.

- O Boże, co się stało?

- Wygląda na to, że przegryzła kabel - wyjaśnił Brendan.

Wsunął dwa palce w wewnętrzne zagięcie jej tylnej łapy.

- Poraziło ją, Jennifer. Nie czuję pulsu.

Pokochałam Euforię w chwili, kiedy - tuż po śmierci Danny'ego - wyłowiłam ją z jeziora. Znaczyła dla mnie więcej niż zwykły kot. Zaciśnęłam palce na ramieniu Brendana.

- Proszę! Możesz jej jakoś pomóc?

Wziął głęboki wdech.

- Spróbuję. Posłuchaj, kiedy dam znak, naciśnij w tym miejscu pięć razy.

Potem Brendan odwrócił Euforię na bok. Nie poruszyła się, nie wydała żadnego głosu.

Pochylił się, otworzył pyszczek kotki i zbliżył do niego swoje usta. Potem wtłoczył w jej płuca trochę powietrza.

Phhh...

- Teraz - dał znak. - Naciśnij, Jennifer.

Naciskałam lewą stronę klatki piersiowej Euforii, a w myślach wypowiadałam żarliwe słowa modlitwy. Potem Brendan zasygnalizował, żebym przestała. Serce waliło mi w piersiach.

Pochylił się i po raz drugi napełnił powietrzem płuca Euforii. Potem znów kazał mi naciskać. Bardzo się starał. Jak lekarz na miejscu wypadku.

Po chwili ujrzałam cud. Poczułam, że Euforia ożywa pod moimi palcami. Lekko zadrżała, prychnęła, otworzyła piękne, zielone oczy i spojrzała na mnie. Jej oczy były pełne miłości. Oddychała.

W końcu podniosła się i miauknęła.

Objęłam ją i przytuliłam do siebie. Drugą rękę zarzuciłam Brendanowi na szyję i pocałowałam go. Mocno mnie uściśniętą, niemal miażdżąc kotkę między nami.

- Uratowałeś moje maleństwo - szepnęłam.

Brendan przysiadł na piętach. Wyglądał na zadowolonego. Potem powiedział cudowne słowa:

- Teraz już chyba wiesz, Jennifer, że cię kocham. Właśnie obdarzyłem pocałunkiem życia twoją kotkę.

Patrzyłam na niego zdumiona. Brendan wyznał mi miłość.

ROZDZIAŁ 39

Wreszcie nastał dzień, kiedy pomyślałam, że lato mija zbyt szybko. O naszej „czarodziejskiej godzinie” znów siedzieliśmy na pomoście z opuszczonymi nogami, opierając się o siebie. Brendan patrzył na przeciwległy brzeg jeziora tak bardzo zatopiony w myślach, że chyba całkiem zapomniał o mojej obecności.

- Dobrze się czujesz? - spytałam.

Oczywiście wiedziałam, że nic mu nie dolega. Był okazem zdrowia.

- Hm... tak - mruknął, a potem umilkł.
- Zabrakło ci słów? Nie mogę w to uwierzyć. Słowo daję, nie wierzę. Co miało oznaczać to „hm”? - drążyłam.

Zwykle w takich sytuacjach odpowiadał żartem, ale teraz był poważny. O co chodzi? - zastanawiałam się. - Chyba nadszedł czas, żeby również on zdradził swoje tajemnice. Pytanie tylko, czy wystarczająco mi ufa.

- Muszę ci coś wyznać, Jennifer - zaczął.

Odwróciłam się lekko - już nie stykaliśmy się ramionami, za to lepiej widziałam jego twarz. Brendan wyraźnie unikał mojego wzroku.

- Chyba nie powiesz, że wciąż jesteś żonaty? - spytałam. Słowa, które wyszły z moich ust, wcale mi się nie spodobały. Spojrzał na mnie.

- Jestem rozwiedziony, Jennifer. Ale nie o to chodzi... Problem polega na tym, że gdy się spotkaliśmy kilka tygodni temu, nie przypuszczałem, iż może mi się jeszcze zdarzyć coś takiego. Zresztą, kto by to przewidział? Nie wiedziałem, że gdzieś na świecie jest ktoś taki jak ty.

- Nie wiedziałeś? - zażartowałam. - Wstyd mi za ciebie, bracie.

Brendan nie roześmiał się jednak, co gorsza, wyglądał na zmartwionego. To do niego niepodobne. W końcu zrozumiałam. Naprawdę się we mnie zakochał.

- Ale...

Miałam dziwne przeczucie, że to „ale” z pewnością mi się nie spodoba. Byłam tego tak pewna, że aż przeniknął mnie chłód.

- Ale co? - dopytywałam.

ROZDZIAŁ 40

Nie od razu odpowiedział, a ja uczułam ucisk w żołądku. Wiedziałam: cokolwiek mi powie, nie będzie to nic dobrego.

Brendan nie chciał albo nie mógł spojrzeć mi w oczy; nigdy wcześniej tak się nie zachowywał.

- Co się stało, Brendanie?

Westchnął.

- To będzie trudne. Chyba muszę zacząć od początku.

- Powiedz mi po prostu, o co chodzi - zaproponowałam.

Wyciągnął rękę i pokazał mi zegarek na przegubie.

- Zauważyłaś go kiedyś, Jennifer?

To był ładny rolex. Oczywiście, widziałam go, ale nigdy o nim nie rozmawialiśmy.

- Lubisz go - domyśliłam się.

- To prezent od przyjaciela, który mieszkał ze mną po sąsiedzku, tuż za ścianą. Nazywał się John Kearney. Kibicował drużynie Notre Dame. Bardzo, bardzo miły facet. Miał czworo dzieci, same dziewczyny. Chodziliśmy na mecze futbolowe i raz w tygodniu grywaliśmy w tenisa. Miał pięćdziesiąt jeden lat. Kaszlał trochę i poszedł do lekarza. Wrócił ze zdjęciem rentgenowskim, które ujawniło dużą plamę na płucu.

Załatwiłem Johnowi miejsce w klinice Mayo, gdzie wcześniej odbywałem staż - ciągnął Brendan po chwili. - Znalazłem najlepszego chirurga. Onkologa, Jennifer. Sześć miesięcy później John ważył pięćdziesiąt kilogramów, nie mógł jeść ani wstać z łóżka. Cierpiał, a stan jego zdrowia się pogarszał.

Brendan spojrział mi w oczy. Byłam do głębi poruszona jego smutkiem. Znałam ten ból, wciąż go odczuwałam.

- Miałem zamiar namówić Johna na następną radioterapię, ale odmówił zdecydowanie. Powiedział wprost: „Daj spokój, Brendanie. Jesteśmy przyjaciółmi, wiem, że chcesz mojego dobra. Ale zrozum: mam za sobą wspaniałe życie. Wychowałem cztery piękne córki. Nie chcę żyć tak jak teraz. Pozwól mi odejść”.

Przeprosiłem go i objąłem, płakaliśmy obaj jak dzieci. Wiedziałem, że John ma rację. Nie mogłem cofnąć tego, co już zrobiłem, ale wtedy po raz pierwszy zupełnie inaczej

spojrzałem na inwazyjne metody leczenia, które czasami stosujemy - tylko dlatego, że mamy taką możliwość.

Przed śmiercią ofiarował mi swój zegarek - wyjaśnił Brendan. - Przypomina mi on o „wartości czasu”, o tym, że należy go dobrze wykorzystać. Toteż gdy na początku lata zobaczyłem wyniki swojej tomografii komputerowej, postanowiłem możliwie najlepiej wykorzystać czas, który mi jeszcze pozostał. Przepraszam za wszystko. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Nie lubię melodramatów, zwłaszcza gdy gram w nich główną rolę. Jestem śmiertelnie chory, Jennifer.

ROZDZIAŁ 41

Chyba na krótką chwilę straciłam przytomność. Słyszałam, że Brendan mówił o wyniku swojej tomografii komputerowej, ale nie byłam pewna, czy dobrze go zrozumiałam.

- Nie ma dla mnie żadnej nadziei - dodał po chwili. - Wierz mi, sprawdziłem wszystkie możliwości.

Poczułam potworny ból w klatce piersiowej, może tam, gdzie kiedyś miałam serce? Kręciło mi się w głowie, było mi niedobrze i nie do końca wierzyłam w to, co właśnie usłyszałam. Wszystko wokół mnie wydawało się nierzeczywiste. Woda, w której moczyłam stopy, moje ciało, dłoń Brendana. Nagle przytuliłam go do siebie najmocniej, jak potrafiłam. Pocałowałam go w policzek, w skroń. Było mi niesłychanie smutno, czułam się pusta.

- Co to za choroba? - spytałam w końcu.

- Glejak wielopostaciowy, Jennifer. Pod tą skomplikowaną nazwą kryje się zwykły rak, guz, który mam dokładnie tu.

Wskazał palcem miejsce na głowie, tuż za lewym uchem.

Wyjaśnił, że analizował swój przypadek na wszystkie możliwe sposoby, konsultował się ze specjalistami nawet z Londynu, niestety, zawsze dochodził do tego samego fatalnego wniosku.

- Jedyna metoda leczenia tego rodzaju guza jest eksperymentalna i bardzo drastyczna. Ciężka operacja, zagrożona ogromnym ryzykiem paraliżu. Zresztą i tak prawdopodobnie nie uda się usunąć wszystkich nieprawidłowych komórek. Zazwyczaj dochodzi do wznowy, mimo chemii i radioterapii.

Po twarzy płynęły mi łzy, czułam się potwornie.

- To nie może być prawda - szepnęłam.
- Nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć, Jennifer. Wciąż nie wiem.

Wziął mnie w ramiona, a ja pozwoliłam się przytulić. Gdy znów się odezwał, jego głos był niski i spokojny.

- Tak mi przykro, Jennifer - pocieszał mnie. - Tak bardzo przykro.

- Och, Brendanie - szepnęłam. - Jak to możliwe?
- Chciałem tylko dobrze wykorzystać czas. To wszystko - powiedział ledwo słyszalnym szeptem. - Dlatego postanowiłem spędzić ostatnie lato tu. Tymczasem spotkałem ciebie, Smyku.

ROZDZIAŁ 42

Nie kochaliśmy się jeszcze z Brendanem i teraz chyba zrozumiałam, dlaczego nigdy na to nie nalegał. Była to jedna z niewielu rzeczy, które w tym momencie do mnie dotarły.

- Nie chcę być sama dzisiaj nocy - szepnęłam tuż przy jego policzku. - Masz coś przeciwko temu?

Brendan obdarzył mnie promiennym uśmiechem.

- Ja od trzydziestu czterech nocy nie chcę być sam.
- Czyżby je ktoś liczył?
- Ja liczę - odparł.

Uniosłam dłoń Brendana do ust i pocałowałam.

- Liczyłeś.

Drogę z pomostu do sypialni pokonaliśmy tak, jakby urosły nam skrzydła. Objęliśmy się w drzwiach i na chwilę straciłiśmy równowagę. Nasz pocałunek trwał długo, bardzo długo, a ja w głębi duszy musiałam przyznać, że lubię pocałunki Brendana. Potem zrzuciliśmy z siebie ubrania i opadliśmy na łóżko.

- Wygląda na to, że moja łzawa historyjka zrobiła swoje - powiedział ochryplym głosem.

- Ciii... Nie żartuj.

Ale nie zdołał się powstrzymać.

- Czy to ty, Smyku? - spytał.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Prawdę mówiąc, bardzo lubiłam jego żarty, podobało mi się, że zawsze potrafił mnie rozśmieszyć.

Wsunęłam palce w gęste włosy Brendana i całowałam go bez końca. Podniecało mnie, kiedy ocieraliśmy się o siebie. Lubiłam jego zapach. Dotknęłam miękkich włosów na jego klatce piersiowej, potem zaczęłam opuszczać dłonie coraz niżej. Powoli go poznawałam. Chciałam poznać go najdokładniej, jak to tylko możliwe. W końcu przestałam tłumić uczucia. Już nie czułam takiej potrzeby.

Brendan delikatnie całował moje piersi, zagłębienie w szyi, usta, powieki; i po chwili znowu od początku. Całkowicie straciłam panowanie nad sobą. Był taki delikatny i czuły. Szeptał moje imię, pieścił moje ciało. Miał cudownie delikatne ręce, tak że od ich dotyku przebiegał mnie dreszcz.

- Jesteś piękna naga. Piękniejsza, niż przypuszczałem - powiedział.

Jego słowa sprawiły mi przyjemność. Nie domyślał się nawet, jak bardzo chciałam je usłyszeć. Od ponad półtora roku nie byłam z nikim w łóżku.

- Ty też - zapewniłam go.

- Jestem piękny?

- Uhm. Jasne.

Niczego nie ukrywaliśmy. Nie było wstydu ani zdenerwowania „pierwszego razu”. Zupełnie jakbyśmy od dawna wiedzieli, że to się stanie. Zresztą, może rzeczywiście wiedzieliśmy? Potem leżeliśmy objęci i cicho szeptaaliśmy. Nie mogłam oderwać wzroku od niezwykle oczu Brendana.

Gdzieś rozwiązał się mój strach, zniknęły niepewność i wątpliwości. W końcu zwróciliśmy się twarzami do siebie i przytuliliśmy najmocniej, jak to było możliwe. Ciasno spleliśmy nogi i ręce.

W takiej pozycji zasnęliśmy.

Kiedy się obudziłam, wciąż leżałam w ramionach Brendana. Muszę przyznać, że bardzo mi się to podobało.

- Smyku? - szepnął.

Uszczypnęłam go w rękę.

- Widzisz, jaki z ciebie łobuziak.

- Jak możesz mówić coś takiego... po tej nocy?

- Zgoda. Łobuziak w spódnicy. Bezsprzecznie jesteś dziewczyną. Nie, jesteś piękną kobietą, Jennifer. Dajesz mi prawdziwe szczęście.

Przytuliłam go mocno do siebie i w tej samej chwili między zasłony wcisnął się pierwszy promień słońca.

Na ten sygnał Brendan otworzył szeroko oczy i radośnie się uśmiechnął.

- Wstajemy! - oznajmił.

Czy mogłam mu odmówić?

Nago, jak małe dzieci, wyskoczyliśmy na podwórko. Gdy biegliśmy po pomoście, stado spłoszonych kaczek wzbiło się w niebo. Mgła unosiła się znad jeziora. Deski stukwały pod naszymi bosymi stopami.

Wskakując do krystalicznie czystej wody, wydaliśmy dziki okrzyk.

Jakby nie działało się nic złego.

ROZDZIAŁ 43

Tego ranka podczas odwiedzin u Sam koniecznie musiałam jej wszystko opowiedzieć. Dawniej powstrzymywałaby mnie: „Gadasz jak najęta, Jennifer. Zwolnij”. Niestety, nie mogłam zwolnić, nie miałam czasu. Mimo to rozmawiałyśmy... no dobrze - ja mówiłam... - ponad godzinę.

- Wiesz, Sam, już nie czuję się winna i nawet nie bardzo chcę się zastanawiać, dlaczego. Może dlatego, że Brendan jest chory. Muszę coś z tym zrobić. Jak sądzisz, babciu? Potrzebuję twojej pomocy. Już zbyt długo odpoczywasz.

Sam nie miała mi nic do powiedzenia, co było dla mnie beznadziejnie smutne i frustrujące. Bo przecież do tej pory zawsze mogłam na nią liczyć.

Później tego ranka spotkałam się z Maxem Weisbergiem. Chciałam poznać jego opinię - i to wcale nie o chorobie Sam. Musiałam porozmawiać z Maxem o Brendanie.

Powędrowałam tam, skąd unosił się zapach kawy i przypalonego makaronu, czyli do szpitalnej kafejki ze stolikami z formiki i z widokiem na parking. Wlałam kawę do papierowego kubka i dodałam cukru. Gdy się odwróciłam, ujrzałam doktora Maxa. Siedział przy stoliku koło okna.

W ciągu ostatnich tygodni tyle razy z nim rozmawiałam, że już prawie mnie nie onieśmiał. Prawdę mówiąc, wyglądał bardzo młodo, zwłaszcza gdy siedział naprzeciwko mnie w swoim zielonym stroju. Miał krótko przycięte, jasne, sterzące włosy. Zajadał obrzydliwe ryżowe tosty i popijał czarną kawę.

- Fuj - prychnęłam.

- Daj spokój. Czy coś się stało?

Powtórzyłam wszystko, czego dowiedziałam się wczoraj od Brendana: że ma groźny guz mózgu i bardzo złe rokowania, że zrezygnował z leczenia i postanowił spędzić cudowne lato nad jeziorem.

Gdy skończyłam, Max spytał:

- Kiedy przestaniesz palić?
- Daj spokój, Max. Proszę. Poza tym, prawdę mówiąc, nie paliłam. Do wczoraj.

- No właśnie - westchnął. - Postępuj, nie mam zamiaru cię okłamywać. Glejak to prawdziwy horror. Co do tego, Brendan ma absolutną rację. Operacja jest naprawdę niebezpieczna; nigdy nie wiadomo, jakie będą rezultaty leczenia. Brendan doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- Max, czy naprawdę nie da się nic zrobić? Czy nie istnieje choćby cień szansy, że mógłby wygrać z chorobą i potem prowadzić w miarę normalne życie?

- Gdyby nie zabiła go drastyczna operacja i leczenie się powiodło, miałyby jakieś trzydzieści procent szansy na przeżycie dwóch do pięciu lat. Może się jednak zdarzyć, Jennifer, że po operacji obudzi się całkowicie sparaliżowany. Będzie miał świadomość, ale nie będzie mógł mówić ani się poruszać. Możesz mi nie wierzyć, ale ja wiem, jakie to ryzyko.

Nie chciałam się rozpląkać w obecności Maxa, ale czasami zachowywał się tak, jakby miał serce z kamienia.

- Nie wiem, co robić - wyznałam. - Po głowie chodzą mi szalone pomysły. Możesz mi coś doradzić?

- Przepraszam. Jestem neurologiem.

Spojrzałam na niego wilkiem; łzy płynęły mi po policzkach. Ku mojemu zaskoczeniu jego dotychczasowy chłód zniknął.

- Przykro mi. To okropne - powiedział smutno. - Także dla mnie.

Podparł głowę rękami.

- Pozwól, Jen, że powiem to inaczej. Brendan chyba po stanowił dobrze wykorzystać czas, który mu jeszcze został. Chce spędzić z tobą piękne lato. Jest prawdziwym szczęściarzem, że cię znalazł, i na pewno dobrze o tym wie. Innymi słowy, uważam, że dokonał bardzo mądrego wyboru. Przykro mi.

Potem ujął moje ręce w swoje dłonie.

- Serdecznie ci współczuję, Jennifer. Brendanowi również.

ROZDZIAŁ 44

Wracając do domu, zastanawiałam się nad słowami doktora Weisberga. Zaparkowałam pod dębem, zrzuciłam mokasy i powędrowałam na pomost Shepa. Brendan pływał w jeziorze. Wyglądał tak zdrowo - nikt by nie powiedział, że jest chory, i to nieuleczalnie chory. Zaczęło mi burczeć w brzuchu.

Zobaczył mnie i pomachał ręką.

- Chodź! - zawołał. - Woda jest świetna. Pięknie wyglądasz.

- Nie, to ty chodź - powiedziałam i poklepałam deski pomostu. - Usiądź ze mną. Mam dla ciebie miejsce. Tu jest bardzo miło.

Brendan podpłynął do mnie. Jednym zwinnym ruchem wydzwignął się z wody, potem objął mnie ramieniem i pocałował.

- Nie teraz - szepnął po pocałunku.

- Co nie teraz? - spytałam.

- Nie rozmawiajmy o tym teraz, Jen - poprosił.

Spojrzał mi w oczy, mrużąc je z powodu słońca.

- Stracilibyśmy piękny dzień. Później będzie dużo czasu na poważne rozmowy.

Świetnie. Przygotowałam więc lunch i podałam go na przestronnej werandzie Sam: sałatkę z kurczaka z białymi winogronami, frytki i mrożoną herbatę. Promienie słońca złociły powierzchnię jeziora, a w powietrzu unosił się zapach róż Sam. Henry znów pracował w ogrodzie - czyżby go w ogóle nie opuszczał?

Był naprawdę wspaniały dzień. Odpowiedni chłopak, odpowiednia dziewczyna, tylko nieodpowiedni czas. Podczas lunchu z trudem tłumiłam łzy. Na szczęście jakoś się powstrzymałam. Może Brendan pogodził się z myślą, że jest śmiertelnie chory - ja nie.

Już jakiś czas temu Brendan postanowił zabezpieczyć pomost Shepa przed wilgocią - jak dotąd wykonał zaledwie

połowę zadania, dlatego po lunchu wrócił do pracy. Sprzątając ze stołu, pod swoim talerzem znalazłam liścik:

JENNIFER!
ZAPRASZAM CIĘ UROCZYŚCIE
NA KOLACJĘ DO PENSJONATU.
GODZINA DZIEWIĘTNASTA.
PRZYJDŹ I BĄDŹ CUDOWNA JAK ZAWSZE.
BRENDAN

ROZDZIAŁ 45

Gdy o zmierzchu przecinałam trawnik, a potem wędrowałam na zachód ścieżką, która okrążała jezioro, towarzyszyło mi tylko cykanie świerszczy. Był cudowny wieczór: czyste niebo, chłodne podmuchy wiatru. Miałam na sobie czarne spodnie, bluzeczkę na ramiączkach i czarny kardigan; na nogach sandaalki. Chciałam się podobać Brendanowi i miałam nadzieję, że mi się to uda. Nie jestem królową piękności, ale potrafię się całkiem nieźle ubrać.

Na łące nad jeziorem stał niewielki pensjonat z patiem wyłożonym niebieskimi płytami. Od razu zobaczyłam steki w marynacie, butelkę czerwonego wina i Brendana, który przekładał coś na grillu, wzbijając w niebo snopy iskier.

Pocałował mnie, a trzeba przyznać, że umiał całować. Jego pocałunki na długo pozostawały na wargach.

- To wyjątkowy dzień - oświadczył, podając mi kieliszek wina. - Moje urodziny.

- Och, Brendanie. Jezu! Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Zaczerwieniłam się i zrobiło mi się naprawdę przykro.

- Nie chciałem robić zamieszania. - Wzruszył ramionami. - Zresztą to nie są jakieś okrągłe urodziny. Nie ma w nich żadnego zera.

Szybko policzyłam. Miał czterdzieści jeden lat. Zaledwie czterdzieści jeden! Stuknęliśmy się kieliszkami, a ja powiedziałam:

- Wszystkiego, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!
Powstrzymałam się od bardziej konkretnych życzeń.

- Bardzo się cieszę, że tu jesteś - szepnął. - To naprawdę szczęśliwe urodziny.

Świetliki latały w ciemności wokół łagodnych splotów liter neonu, gdy wrzucałam na grill warzywa, a Brendan układał steki. W pensjonacie był odtwarzacz kompaktowy i już po chwili Eva Cassidy uświetniała wieczór tak, jak tylko ona potrafi. Brendan zaprosił mnie do tańca. Ujęłam go za rękę i natychmiast krew uderzyła mi do głowy. Otoczył mnie ramieniem i bosymi stopami wykonywał taneczne kroki po trawie. Chociaż wszystko było takie proste i zwyczajne, bardzo mi się podobało. Po Evie do głosu doszedł Sting.

Brendan dobrze tańczył, chociaż był na bosaka, a parkiet zastępowała nam trawa. Potrafił prowadzić albo podążać za partnerką, a przy tym jego ruchy były tak płynne, że czułam się, jakbym całkowicie się z nim stapiała. Posuwaliśmy się po trawniku, objęci, przytuleni. Było miło... prawdę mówiąc, cudownie. Czułam, że pasujemy do siebie.

- Steki się palą - szepnęłam, gdy Toni Braxton zaczęła śpiewać „Unbreak My Heart”.

- Nieważne - odparł Brendan.

- Masz w sobie tyle uroku, wiesz? Jesteś przystojny, dowcipny, wrażliwy, czego nie można powiedzieć o wszystkich miłośnikach futbolu.

- Co za miłe urodziny - uśmiechnął się.

- Gdy zjemy - obiecałam - będę miała dla ciebie całkiem sympatyczny prezent. Myślałam o tym przez całe popołudnie.

- To znaczy, że wiedziałas o moich urodzinach?

- Nie, improwizuję - wyjaśniłam z uśmiechem.

Zjedliśmy kolację, potem wypiliśmy trochę wina. Prawdę mówiąc, dwie butelki. Tańczyliśmy w rytm piosenek Jill

Scott i Sade, a następnie... no cóż, w końcu to były jego urodziny.

W pensjonacie meble były pokryte perkalem, a z wielkiego łoża roztaczał się widok na jezioro. Kochaliśmy się, „dopóki nie opadły nam powieki”. Ach, Brendan miał w sobie tyle czaru! Zawsze. Także w dniu swoich urodzin.

Pamiętam jeszcze jeden wzruszający szczegół. Przed snem zaśpiewałam mu: „Happy birthday...”. Włożyłam w to całe serce, a on dołączył do mnie z takim samym zapamię.

ROZDZIAŁ 46

Obudziłam się w pensjonacie z lekkim bólem głowy. Chyba za dużo było tego wina! Nagle ogarnął mnie lęk. Byłam sama. Słońce stało już wysoko, przespałam więc cały ranek. Szybko pozbierałam ubrania i wtedy - ku swojej uldze - na sandańku znalazłam liścik.

Kochana Jen!

Nie myliłem się, jesteś najwspanialsza. Mam do załatwienia pewną sprawę w Chicago. Nic ważnego. Zobaczymy się wieczorem? Mam nadzieję, że tak. Nie mogę się doczekać, kiedy znów znajdziesz się w moich ramionach. Już za Tobą tęsknię. Wierzę, że Ty tęsknisz za mną.

Całuję i ściskam, ściskam i całuję.

Brendan

Przycisnęłam liścik do piersi i we wczorajszej czarnej kreacji powędrowałam przez trawniki do domu. Euforia i Sox powitały mnie na najwyższym stopniu werandy Sam. Ocierały się o moje nogi z pretensją, że mimo tak późnej pory nie jadły jeszcze śniadania.

Gdy je przepraszałam, pod dom podjechał czerwony pikap. Wsiadł z niego nasz ogrodnik. Był dziwnie poruszony. Czyżby coś się stało?

- Jennifer! - zawołał. - Wszyscy cię szukają.

W tym samym momencie usłyszałam dzwonek telefonu. Tylko nie Sam! - pomyślałam.

- Zaczekaj, Henry! Telefon!

Otworzyłam drzwi i przez chwilę szamotałam się ze słuchawką, nim przyłożyłam ją do ucha. To był doktor Max. Od razu poznałam, choć jego głos brzmiał inaczej niż zwykle - był jakiś niepewny i pełen napięcia.

- Sam się obudziła. Przyjeżdżaj jak najprędzej!

ROZDZIAŁ 47

Wsiadłam do jaguara, ruszyłam drogą numer 50, a potem skręciłam w prawo, w 67. Przez cały czas myślałam o Sam i nawet nie zorientowałam się, że Henry jedzie za mną. Zauważyłam go dopiero wtedy, gdy czerwony pikap zaparkował obok mnie. Henry opuścił szybę.

- Ona jest...

- Przepraszam, Henry, co mówisz? Nie słyszę!

- Sam nie leży już na oddziale intensywnej opieki medycznej. Jest na pierwszym piętrze. Sala dwadzieścia jeden B.

- Dzięki! - zawołałam już w biegu.

Potem zaczęłam się zastanawiać: czy to możliwe, żeby Henry był Dokiem? Samotnie wychowuje dwójkę dzieci. Może nawet ma doktorat. Chyba kiedyś ktoś mówił coś takiego.

Szybko pokonałam ostatni odcinek, nie zawsze grzecznie torując sobie łokciami drogę w tłumie, który wypełniał szpitalne foyer. Pokonywałam po dwa stopnie naraz. Sala Sam znajdowała się na końcu korytarza wyłożonego lśniącem

linoleum. Pchnęłam wahadłowe drzwi. Miałam już przygotowane dowcipne powitanie: „Najwyższy czas, żebyś dołączyła do świata żywych!” Nie udało mi się go jednak wygłosić.

Serce zamarło mi w piersiach. Sam leżała nieruchomo na łóżku. Miała zamknięte oczy. Doktor Max pochylał się nad nią i coś sprawdzał. O Boże, spóźniłam się, pomyślałam.

- Co się stało? - spytałam. - Przyjechałam najszybciej, jak mogłam.

Max odwrócił się.

- Chodź, porozmawiamy na korytarzu - powiedział zdecydowanie.

- Z powrotem zapadła w śpiączkę, tak?

Max zatrzymał mnie przed wejściem do sali.

- Nie, Jennifer. Obudziła się. Ale muszę ci wyjaśnić sytuację.

Poszliśmy do jego gabinetu, beżowego pokoiku z tanimi meblami i notatkami przyszpilonymi do ścian. Podobnie jak kilka tygodni temu Max podprowadził mnie do obrotowego krzesła, a sam usiadł na skraju biurka, twarzą do mnie.

- Teraz Sam śpi - wyjaśnił. - Rano, gdy się obudziła, próbowaliśmy cię zawiadomić, ale nikt nie odbierał telefonu.

- To znaczy, że wyszła ze śpiączki?

- Śpiączka bynajmniej nie jest stanem całkowitego spoczynku - ciągnął Max, jakby nie usłyszał mojego pytania. - Co prawda pogrążony w niej człowiek nie jest przytomny, wciąż jednak martwią go różne sprawy, na przykład: czy ktoś nakarmi psa, podleje kwiatki, a nawet - czy nie zapomniał zgasić światła. Dobrze, jeśli możemy uspokoić pacjenta. Dlatego właśnie nie zgodziliśmy się, by przewieziono Sam do St. Luke's w Milwaukee. Chcieliśmy, żeby miała przy sobie przyjaciół, a przede wszystkim ciebie.

- Miano ją gdzieś przewieźć? Pierwsze słyszę.

- Wiem. Nie mówiłem ci o tym. - Max machnął ręką. - Posłuchaj, wszyscy tutaj kochają Sam.

Kiedy zastanawiałam się nad tym, co właśnie usłyszałam, Max poinformował mnie, że jego ojciec zasiada w radzie nadzorczej szpitala. Zrobili wszystko, by Sam została w Lake Geneva, chociaż Centrum Medyczne Lakeland nie jest zbyt dużą placówką i nie może zapewnić pacjentom długotrwałej opieki.

- Sam wprawdzie wyszła ze śpiączki, ale uraz, jakiego doznała, mógł zostawić jakieś ograniczenia w sferze fizycznej lub psychicznej.

- Zostawił? - spytałam. - Daj spokój, Max, powiedz wprost, o co chodzi.

- Mówi dużo, ale nie zawsze z sensem. Jest słaba. Poobserwujemy ją jeszcze przez jakiś czas. A potem trzeba będzie zapewnić troskliwą opiekę w domu.

Max bacznie mi się przyglądał, chociaż nie bardzo wiedziałam, dlaczego. Nagle uświadomiłam sobie, co go dziwi: miałam rozmazany makijaż, rozczochrane włosy i o dziesiątej rano byłam w pogniecionym wieczorowym stroju.

Próbowałam zachować resztki godności.

- Chcę się zobaczyć z Sam - oświadczyłam. - Mogę?

- Oczywiście. Chciałem cię tylko przygotować.

Max wrócił ze mną na salę Sam, potem wyszedł, a ja po cichutku zbliżyłam się do łóżka. Delikatnie dotknęłam ramienia babci. Natychmiast otworzyła oczy. Drgnęłam. Patrzyła na mnie, mrużąc oczy.

- Jennifer - szepnęła z uśmiechem. - Przyszła moja dziewczynka.

ROZDZIAŁ 48

Wybuchnęłam płaczem i rzuciłam się w ramiona Sam. Nie mogłam uwierzyć, że babcia znów mnie obejmuje, że słyszę jej głos. Przecież już prawie straciłam nadzieję, że kiedykolwiek będę mogła z nią porozmawiać.

Delikatnie poklepała mnie po plecach - tak jak wtedy, gdy miałam dwa latka. Tak bardzo kochałam Sam, że nawet nie chciałam myśleć, iż mogłabym ją stracić. Cały czas tak bardzo pragnęłam znów ją zobaczyć, porozmawiać z nią. I to się właśnie stało.

Poprawiłam poduszkę Sam i usiadłam na brzegu jej łóżka.

- Gdzie byłaś? - spytałam.
- Tutaj. Tak przynajmniej mi mówią.
- Opowiadaj - zaproponowałam.

Było to jedno z naszych haseł. „Opowiadaj”, z kim spotykasz się w Chicago. „Opowiadaj”, co wydarzyło się nad jeziorem.

- No cóż, to było dziwne - wyznała, wydymając wargi. - Nie wiedziałam, gdzie jestem, ale słyszałam różne rzeczy, Lauro.

Oho! Laura to imię mojej matki.

Sam ciągnęła, nieświadoma popełnionego błędu.

- Ten cholerny słoń, który tu był, doprowadzał mnie do szału. Na szczęście, gdy przychodziły pielęgniarki, dużo plotkowały o cesarzach. To było ciekawe!

Próbowałam przetłumaczyć sobie jej słowa. „Słoń” to z pewnością respirator. „Plotkowały o cesarzach”? A cóż to miało znaczyć?

- Czy powiedziałam „o cesarzach”? Myślałam o...
- Lekarzach - domyśliłam się.
- Tak. Wiedziałaś, że zrozumiesz. Próbowałam się do ciebie odezwać, Jennifer. Słyszałam cię, ale mój głos...

Parę razy bez słowa wskazała na usta.

- Nic stamtąd nie wychodziło.

Skinęłam tylko głową, bo sama nagle poczułam ucisk w gardle. Znów się objęłyśmy. Kiedy masz problemy, przytul się. Przez nocną koszulę mogłam policzyć jej żebra, ręce się jej trzęsły, słowa myliły... ale to nie miało znaczenia. Sam żyła. Znów ze mną rozmawiała. Tego właśnie pragnęłam, o to się modliłam.

Babcia chciała, żebym ja jej coś opowiedziała. Tak też zrobiłam, a skończyło się na tym, że wyznałam jej więcej, niż zamierzałam, o swoim związku z Brendanem. Sam słuchała, ale niewiele mówiła. Nie wiedziałam, czy w ogóle mnie rozumie.

Potem spojrzała na mnie jasnoniebieskimi oczami, a mnie mało serce nie pękło.

- Przed śmiercią chcę wrócić do domu - powiedziała.

ROZDZIAŁ 49

Po pewnym czasie radość z rozmowy z Sam przyćmił niepokój, który pogłębił się jeszcze, gdy późnym popołudniem wracałam na Knollwood Road. Wiedziałam, że muszę zadzwonić do przyjaciół babci, ale coraz bardziej martwiłam się o Brendana. Co robi w Chicago? Czy nagle gorzej się poczuł? Dlaczego wyjechał z Lake Geneva właśnie teraz? Przede wszystkim nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła mu powiedzieć, że Sam się obudziła.

Tego popołudnia uzmysłowiłam sobie, że nie lubię, wręcz nie cierpię rozstawać się z Brendanem. Uznałam to za zły znak.

Zrobiłam samochodem pętlę na końcu podjazdu i zaparkowałam pod dębem. Z powodu niepokoju o Brendana zaczęła mnie boleć głowa. Ból umiejscowił się tuż za lewym okiem.

Gdy tylko weszłam do domu, połknęłam dwa advile. Potem zajrzałam do Shepa, żeby sprawdzić, czy Brendan nie wrócił. Dom tonął w ciemności, widocznie nie było nikogo. Pewnie Brendan wciąż jest w Chicago, pomyślałam. Gdzie jesteś, Brendanie? Bardzo za nim tęskniłam. I martwiłam się. Neurotyczka z wielkiego miasta.

Wróciłam do domu babci, ale nie bardzo wiedziałam, co robić. Wzięłam więc jej listy i wyszłam na werandę. Bardzo chciałam poznać dalszy ciąg opowieści.

Co zaszło między nią a Dokiem? Kim był? Czy kiedykolwiek babcia wyzna mi całą prawdę? Czy Doc to John Farley? A może Henry? Lub wujek Brendana, Shep? A może ktoś, kogo w ogóle nie znam?

Gdy usadowiłam się w swoim ulubionym bujaku, niebo nad jeziorem gwałtownie pociemniało. Powietrze było prze-sycone ozonem. Nadchodząca burza spotęgowała moją cieka-wość.

Koniecznie chciałam wiedzieć, jak potoczy się historia Sam i Doka. Pragnęłam rzecz jasna, by zakończyła się szczęśliwie. Jakżeby inaczej? Niestety, jak ostatnio zauważyłam, szczęśli-we zakończenia zdarzają się niezwykle rzadko.

Mimo to zaczęłam czytać.

ROZDZIAŁ 50

Kochana Jennifer!

Czasami tęsknota za Dokiem była nie do znie-sienia. Chyba możesz to sobie wyobrazić. Bywało, że towarzyszyła mi miesiącami. Pozwól zatem, że opowiem Ci, co się zdarzyło. Każdego lata przez dziesięć dni cierpiałam większe katusze niż przez resztę roku. W tym czasie Charles wyjeżdżał do Irlandii. Grywał tam ze swoimi kumplami w golfa i wcale na tym nie poprzestawał, jeśli wierzyć plotkom, które do mnie docierały. Kiedy Charlesa nie było, myślałam tylko o Doku. Nic nie mogłam na to poradzić i chyba wcale nie chciałam.

Pamiętam pewien sobotni poranek w sierpniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego ro-ku. Charles był w Kilkenny, a ja na ten czas wyje-chałam do Lake Geneva.

Jak zwykle sama.

Wiozłam dziupem sztachety na płot. Po drodze zjechałam na stację benzynową. Tego lata pracował tam młody Johnny Masterson. Właśnie napełniał mój bak, gdy z drugiej strony dystrybutora zatrzymał się samochód Doka.

Gdy go zobaczyłam, serce zaczęło mi walić jak szalone. Zawsze tak było - łączyła nas cudowna tajemnica, łączyła nas miłość. Dałam Johnny'emu banknot dziesięciodolarowy i czekając na resztę, patrzyłam, jak Doc wysiada z samochodu. Podszedł do mojego dżipa. Boże, był taki przystojny, Jen! Jego uśmiech rozgrzewał wszystkie serca. A te jego oczy!

- Zrób coś dla mnie, Sammy - powiedział. - Nie sprzeciwiaj mi się. Gdy stąd wyjadę, jedź za mną, dobrze?

Posłuchałam. Jechałam za Dokiem jakieś szesnaście kilometrów drogą numer 50, potem wjechałiśmy na autostradę. Gdy dotarliśmy do miejscowości uzdrowskiej Alpine Valley, zatrzymałam się na parkingu tuż obok niego i przesiadłam na jego przednie siedzenie. Czy Doc tego chciał? Nie wiem.

Wpadłam prosto w jego otwarte ramiona.

- Jak ja za tobą tęskniłam! Boże, nie wiem, czybym to dłużej zniosła - wyznałam.

Kiedy Doc się odezwał, moje ciało zaczęło śpiewać.

- Wiem, Samantho, rozmawialiśmy o tym nie raz. Może to błąd, ale już nic mnie nie obchodzi. Mam pięćdziesiąt lat. Kocham cię jak wariat. Chcę być z tobą. Proszę, wybierzmy się gdzieś. Te raz, Samantho.

Jennifer, czułam się, jakbym przez wiele lat wstrzymywała powietrze w płucach i dopiero teraz

zaczęła oddychać. Nagle los dał mi szansę. Wystarczyło z niej skorzystać. Mogło się stać to, o czym śniłam, ale w co nie miałam odwagi uwierzyć.

- Zgoda - szepnęłam tuż przy policzku Doka. - Jedźmy gdzieś. Już teraz. Zanim się rozmyślę.

ROZDZIAŁ 51

Jennifer!

O tym, co się wydarzyło, będziesz wiedziała tylko Ty.

Jeszcze długo tuliliśmy się do siebie na parkingu. Chyba oboje staraliśmy się utrzymać nerwy na wodzy. Wreszcie wyruszyliśmy w drogę, chociaż nie miałam pojęcia, dokąd zmierzamy.

Przez cały czas jechaliśmy przytuleni, a mnie przez głowę przebiegały szalone myśli. Co by się stało, gdyby ktoś nas zobaczył? Jak zmieniłoby to nasze życie? Czy uda nam się spędzić razem cały weekend?

Jechaliśmy osiem godzin. Wreszcie w przednich światłach samochodu pojawił się napis:

WITAMY W COPPER HARBOR W STANIE MICHIGAN

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył Doc.

Mocno ścisnęłam jego dłoń, a potem go pocałowałam. Jesteśmy na miejscu. W porządku - pomyślałam. Copper Harbor znajduje się na cyplu półwyspu Keweenaw, z trzech stron otoczonego wodami jeziora Superior. Jest tu wyjątkowo pięknie. Jak na sierpień, było dość chłodno, a ja miałam na

sobie tylko szorty i bluzeczkę bez rękawów. Doc zdjął marynarkę i zarzucił mi ją na ramiona.

- To Raptor Lodge. Stoi tu kilkanaście drewnianych domków na niewielkim ogrodzonym terenie - wyjaśnił. - Jedyne w swoim rodzaju miejsce. Dawno chciałem cię tu przywieźć.

Roześmiałam się.

- A ja już dawno pragnęłam gdzieś z tobą pojechać. Gdziekolwiek. Ale tu jest naprawdę pięknie.

Weszliśmy do recepcji, żeby się zameldować. Jestem pewna, że wyglądaliśmy na bardzo zakochanych. Nigdy nie lubiłam par, które afiszują się ze swymi uczuciami, ale nie mogłam się opanować. Doc również.

Gdy wędrowaliśmy do naszego domku, trzymałam się jak najbliżej Doka. Towarzyszyły nam odgłosy nocy - wycia, świsty, trzaski. To zwierzęta przedzierały się przez zarośla. Dla mnie jednak nic nie było ważne: tylko Doc i to, że jestem blisko niego. Niecierpliwie czekałam na to, co się miało stać. Przez całe życie sypiałam tylko z Charlesem, a tu nagle...

W końcu ujrzeliśmy nasz domek. Stał na polance zalanej światłem księżyca i wysłanej kobiercem sosnowych igieł. Zaszło mi w ustach. Drżały mi nogi. Doc nie mógł trafić kluczem do zamka. Wreszcie otworzył i wziął mnie w ramiona.

- Nareszcie - uśmiechnął się.

Nie przestając się całować, zaczęliśmy nawzajem zrywać z siebie ubranie. Doc całował mnie i pieścił tak jak nikt nigdy dotąd. Jeśli to Cię krępuje, możesz przejść do następnego listu - ale muszę Ci wyznać, że dla mnie było to coś wspaniałego. Rozpływałam się w jego ramionach, nabierałam wiary

w siebie. Czułam się pociągająca, upragniona, piękna, nawet zmysłowa. Nigdy przedtem nie było mi tak dobrze, nie wiedziałam, że to możliwe. Byłam pełna energii, wyzwolona i pożądana. Odkrywałam, że jestem kobietą, i rozkoszowałam się tym.

W końcu Doc ujął moją twarz w dłonie i spojrział mi głęboko w oczy.

- Nie wiedziałaś, że jesteś piękna? - spytał, zdumiony moją nieświadomością.

- Nie - przyznałam - nie wiedziałam. Nie wiedziałam, póki nie spotkałam ciebie.

ROZDZIAŁ 52

Jennifer!

Oszczędzę Ci bardziej intymnych szczegółów... Tamtej nocy spędzonej z Dokiem dostałam to, czego pragnęłam, a nawet dużo, dużo więcej. Obudziłam się w jego ramionach z poczuciem, że po raz pierwszy w życiu jestem tam, gdzie powinnam być.

- Witaj, Samantha - szepnął. - Jesteś wciąż tak piękna jak wczoraj wieczorem.

Dla Doka byłam Samantha. Tylko on jeden tak się do mnie zwracał.

Przez następne dwa dni prawie wcale nie wychodziliśmy z naszej chatki. Prawdę mówiąc, nie chcieliśmy nigdzie wychodzić. Wszystko było dla nas takie nowe, wzajemne poznawanie się sprawiało nam tyle radości! W środku następnej nocy obudził nas telefon.

Przywarłam do Doka i zaczęłam lekko drżeć. Nikt nie wiedział, że tu jesteśmy. Czyżby Charles nas znalazł?

- Bardzo dobrze. Dziękuję - powiedział Doc do słuchawki.

Byłam zaskoczona. Nie wiedziałam, dlaczego się uśmiecha - obudzony z głębokiego snu o drugiej w nocy!

- Ubierz się, Samantho - poprosił, sięgając po swoją odzież. - Chcę ci coś pokazać. Na pewno ci się spodoba. Między innymi po to przyjechaliśmy właśnie tutaj.

Spróbuj sobie to wyobrazić, Jennifer.

Pierwszą część drogi przejechaliśmy samochodem, potem niewielki odcinek pokonaliśmy pieszo, a w końcu usiedliśmy na dużym głazie, z którego roztaczał się widok na jezioro Superior. Oparłam głowę na zgiętych kolanach. Dok obejmował mnie ramieniem. Od Kanady dzieliła nas tylko ogromna, lśniąca jak lustro powierzchnia jeziora. Dochodziła trzecia w nocy.

W pewnej chwili na horyzoncie pojawiła się błyszcząca zielona wstążka. Po jakimś czasie zamieniła się w przejrzystą, połyskującą nad wodą kurtynę. Dolny brzeg tej dziwnej zasłony miał czerwonawy kolor, gdzieniegdzie widać było fioletowe i błękitne żyłki, a całe niebo - wydawało się - drżało i kołysało się.

- Ktoś naelektryzował wodę - wydusiłam z siebie. - Albo mam przywidzenia.

Doc roześmiał się.

- To zorza polarna. Ludzie wiedzą, że jest takie zjawisko, ale nie mają pojęcia, jak ono wygląda. My już wiemy, Samantho. Czyż to nie piękne?

Była to niezapomniana chwila. Całe niebo poruszało się, a gdy pofałdowana zasłona przesuwawała się nad nami w prawo, białe punkciki światła migotały jak sztuczne ognie. Doc powiedział, że zorza

powstaje, gdy strumień naładowanych elektrycznie cząsteczek, wypromieniowany przez Sionce, zderza się z cząstkami gazów atmosferycznych. Kolor światła zorzy zależy od rodzaju gazu. Tlen daje światło zielone i czerwone, wodór i hel - błękitne i fioletowe. Sód wydziela światło żółte. Niebo przypomina ogromny neon bez rurek, jak powiedział Doc: neon na dziko.

Uścisnęłam go i szepnęłam:

- Dziękuję za wszystko.

Doc wzruszył ramionami.

- Poprosiłem, żeby nas obudzono.

- Nie pozwól, żeby to się skończyło - szepnęłam tuż przy jego policzku.

Nie skończyło się. Tej nocy kochaliśmy się na głazie pod rozgwieżdżonym niebem. Jennifer, to było niezemskie, nadmysłowe przeżycie, dlatego gorąco polecam „neon na dziko” każdemu, kto ma w sobie choć odrobinę romantyzmu.

A nawet tym, którzy nie są pewni, czy mają.

ROZDZIAŁ 53

Kochana Jen!

Przebudziwszy się w niedzielny poranek, odczuwałam smutek i strach. Chciałam porzucić Charlesa. Obserwowałam śpiącego Doka, bacznie przyglądałam się jego twarzy, jasnym, gęstym włosom i pierwszym nitkom siwizny. Uczyłam się na pamięć jego rysów i byłam zła, że do tego doszło. Że muszę gromadzić wspomnienia.

- Nie śpię - szepnął. - Tylko myślę z zamkniętymi oczami.

- O?

- Och, o wszystkim, co robiliśmy podczas tego weekendu. O tobie. Jesteś piękniejsza niż zorza polarna.

Nie skarżyłam się ani słowem, ani spojrzeniem, ale Doc wiedział, co czuję.

- Nie smuć się, Samantha - poprosił. - Właśnie spędziliśmy najcudowniejszy weekend.

- Chciałabym zostać z tobą - wyznałam. - Chyba już dłużej nie zniosę rozłąki.

- Czytasz w moich myślach. Prawdę mówiąc, od lat się nad tym zastanawiam. Ja też czuję, że życie z dała od siebie jest dla nas nie do zniesienia. Ale gdy Sara była chora, kiedy wiedzieliśmy już, że umiera, obiecałem jej, że wychowam chłopców tak, jak zawsze chciała. A ty? Musiałabyś się rozwieść z Charlesem. Nie poddałby się bez walki, prawda?

Położyłam palec na wargach Doka nie dlatego, że nie chciałam słuchać tego, co chce mi powiedzieć, ale dlatego, że widziałam, ile bólu mu to sprawia.

- Kiedy będziesz gotowy, będę na ciebie czekała - obiecałam. - Jest jeszcze coś, co musisz wiedzieć. Bardzo, bardzo cię kocham. Czuję, że ocaliłeś mi życie.

- Kocham cię, Samantha.

Boże, byłam taka szczęśliwa, słysząc te słowa!

W czasie pożegnania z właścicielami Raptor Lodge, państwem Lundstromami, byłam kompletnie oszołomiona, a w drodze powrotnej do Lake Geneva widziałam wszystko jak przez mgłę. Pamiętam, że przez cały czas trzymałam Doka za rękę.

W końcu wjechaliśmy na parking w Alpine Valley. Co za rozczarowanie! Jakaż smutna chwila!

Długo siedzieliśmy w samochodzie Doka, trzymając się w objęciach.

- Muszę jechać, Samantho - powiedział w końcu.

- Już za tobą tęsknię - szepnęłam. - Mam nadzieję, że ty też będziesz za mną tęsknił.

- Pięknie to powiedziałaś - przyznał Doc. - Kocham cię za twoją łagodność i skromność.

Potem pocałował mnie po raz ostatni. Musiałam przywołać całą swoją siłę woli, żeby nie rozplakać się w jego ramionach. Udało się.

Mój samochód stał tam, gdzie go zostawiłam. Wsiadłam i jego wnętrze wydało mi się jakieś nie-realne. Na pożegnanie zatrąbiłam, a potem wyjechałam na autostradę. Doc pojechał przodem.

Wracając samotnie do Lake Geneva, myślałam o zorzy polarnej, o pożegnaniu z Dokiem i o tym, jak to zniosę. Płakałam przez całą drogę.

ROZDZIAŁ 54

BIEDNA SAM.

Zacinający deszcz zmusił mnie, żebym opuściła werandę i weszła do tonącego w ciemnościach domu. Kiedy zamykałam okna i ścierałam z parapetów krople deszczu, doszłam do wniosku, że doskonale rozumiem samotność i smutek Sam. Na wspomnienie jej pożegnania z Dokiem wróciłam myślami do Brendana. Gdzie on jest? - zastanawiałam się. Gdzieś daleko, na dodatek jedzie w ulewnym deszczu.

Położyłam resztę listów Sam na gzymsie nad kominkiem, obok starego marmurowego zegara. Wtedy przypomniałam sobie: o szóstej po południu powinnam była przesłać kolejny felieton. Zupełnie zapomniałam.

Usiadłam na pokrytej niebieskim aksamitem sofie, włączyłam laptop i otworzyłam plik z pomysłami na deszczowe dni. Żaden nie zasługiwał na to, żeby poświęcić mu siedemset pięćdziesiąt słów. Po pewnym czasie zaświtała mi w głowie wspaniała myśl.

Tak wspaniała, że nie mogłam zrozumieć, dlaczego rodziła się tak długo.

Podeszłam do telefonu i wybrałam numer, który znałam na pamięć.

- Debbie, nie będę bujać - oznajmiłam. - W tej chwili nie nadaję się do „Trib”. Nie byłabym w porządku wobec czytelników. Trudno to wyjaśnić. Tak trudno, że nawet nie będę próbować.

Powiedziałam szefowej, że bardzo mi przykro, ale muszę wziąć urlop. Nie wyjaśniłam, dlaczego. Nie chciałam, żeby mi współczuła, nie miałam zamiaru się tłumaczyć ani opowiadać, co się dzieje z Sam i Brendanem.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, ogarnął mnie strach. Czulałam się, jakbym nagle stanęła na skraju urwiska i spoglądała w dół, w ciemność i pustkę.

Musiałam jeszcze tego wieczoru odwiedzić Sam, chociaż lało tak strasznie, że nie było widać nie tylko jeziora, ale nawet drzew koło domu. Byłam zaledwie kilka kroków od samochodu, gdy usłyszałam klakson. To Brendan! Jego czarny džip mozolnie pokonywał pełną kałuż dróżkę na tyłach domów.

Opuścił szybę i uśmiechnął się. Wtedy wszystko mu wybaczyłam.

- Jenniferrrrr! Wróciłem. Lało przez całą drogę z Chicago.

Byłam szczęśliwa, widząc uśmiechniętą twarz Brendana. Oto wyjaśnienie, Debbie! - pomyślałam. Jego uśmiech. Przeszłam na lewą stronę i oparłam się łokciem o otwarte okno. Po moim żółtym płaszczu przeciwdeszczowym spływały strugi wody.

- Cześć, bracie! Mogę się przysiąc? Mam dobrą wiadomość. Sam wyszła ze śpiączki.

ROZDZIAŁ 55

- Na pewno przypadnie ci do gustu. Przytomna Sam jest dużo ciekawsza niż nieprzytomna - zapewniłam Brendana, gdy jechaliśmy do szpitala. - Myślę, że i ona cię polubi. Al bo przynajmniej będzie udawać.

Brendan wybuchnął śmiechem.

- Co ci jest? - spytał.

- Och, właśnie przeczytałam pewną smutną opowieść, a potem zobaczyłam twoją uśmiechniętą twarz. To zaskakujące zestawienie. Poza tym wzięłam urlop. Teraz tak jak ty jestem włóczęgą plażowym.

Przybiliśmy piątkę.

Po wejściu na salę, gdzie leżała Sam, nie zdołaliśmy ukryć zdziwienia. Z sufitu zwisały dziesiątki błyszczących baloników i serpentyn, a wszystkie wolne miejsca na stołach i półkach zajmowały owinięte w celofan koszyki z owocami i kolorowe bukiety kwiatów. Widać wieść, że moja babcia odzyskała przytomność, lotem błyskawicy rozeszła się po Lake Geneva, a może również po stanach Wisconsin i Illinois. Zastanawiałam się, czy któreś kwiaty czy balony są od Doka.

Była starannie uczesana i pomimo szpitalnej koszuli w niebieskie paski i nieco szarawej cery prezentowała się całkiem nieźle. Uśmiechnęła się na mój widok. Nie spała i chyba dość dobrze się czuła.

- Witaj, Jennifer. A kim jest ten przystojniaczek?

- To Brendan. Opowiadałam ci o nim, pamiętasz? Przystojny, prawda?

Brendan uścisnął jej rękę.

- Witaj, Samantho - powiedział, a ja otworzyłam usta ze zdumienia. Nie wiem, skąd on to wziął. Samantho? Jak w liściach. Jak zawsze nazywał ją Doc.

- Czy ja cię znam? - spytała Sam. - Przypominasz mi... och, wiesz, kogo.

- Mojego wuja Shepa. Zgadłem?
- Tak, jego - potwierdziła. - Oczywiście.

Brendan podniósł o parę szczebelków górną część łóżka Sam, po czym przysunęliśmy bliżej krzesła. Sam trochę nieskładnie zaczęła opowiadać, jak minął jej dzień. Potem spojrzała na Brendana. Wyglądała na nieco zakłopotaną.

- Naprawdę dobrze się czuję - zapewniła, puszczając do mnie oko.

Znowu spojrzała na Brendana.

- Słyszałam, że jesteś bardzo dobrym lekarzem. W takim razie dlaczego się poddałeś? - spytała. - Jak możesz bez walki opuścić taką istotę jak Jennifer?

Brendan gwałtownie uniósł głowę, jakby dostał blachę w czoło, ale szybko odzyskał rezon.

- Dobre pytanie. Sam je sobie zadaje.

Zerknęłam na Sam. Jakim cudem zdołała trafić w sedno sprawy. No. no. no. dzięki. Sam.

- Jak powiedziałaś, Sam, jestem lekarzem. Lekarze, jak wiesz, dysponują pewną wiedzą. Czasami ta wiedza nie wychodzi nam na dobre. Chcę się cieszyć każdą chwilą, jaka mi jeszcze pozostała, jaka nam pozostała. Nie chcę tracić ani sekundy. Ani jednej sekundy. Nie sądzisz, że to ma sens?

Sam spojrzała mu w oczy i przytaknęła.

- Tak, to nawet dość rozsądne podejście - przyznała. - Trudno się z tobą nie zgodzić.

- Dziękuję - powiedział Brendan.

- No więc? - spytała Sam, przenosząc wzrok na mnie, ale zaraz potem wróciła do Brendana.

- No więc? - powtórzyłam śmiało, uśmiechając się.

Sam nie odrywała wzroku od Brendana.

- W takim razie spróbuj postąpić wbrew rozsądkowi - szepnęła. - Ja tak postąpiłam.

ROZDZIAŁ 56

Dni, które teraz przysły, były niezapomniane, najlepsze w moim życiu. Starłam się przeżywać każdy dzień od wschodu słońca, dopóki nie opadły mi powieki. Takie podejście do życia wydawało mi się najwłaściwsze. Miałam czas dla Sam i Brendana.

Brendan był refleksyjny, lubił rozważać wszystko do głębi, ale często kończył jakimś żartem, zazwyczaj na swój temat. Odpowiadało to mojemu sposobowi oglądu świata. Powoli odkrywałam, że jest wielkoduszny i tolerancyjny. Nie był nadopiekuńczy, ale gdy go potrzebowałam, zawsze mogłam na niego liczyć.

Spoglądając mu w oczy czy obserwując go z daleka, nie mogłam wyzbyć się myśli o tym, jak bezsensowna, okrutna i daremna jest jego nieuchronna śmierć. Próżno chciałam się z nim spierać na temat decyzji, jaką podjął. Był zbyt inteligentny, zbyt delikatny; poza tym byłaby to dla nas strata czasu. Cennych chwil naszego lata.

Codziennie pływaliśmy - nawet gdy padał deszcz. Odwiedzaliśmy Sam, czasami nawet trzy razy dziennie. Moja babcia i Brendan bardzo się zaprzyjaźnili. Miałam wrażenie, że są do siebie szalenie podobni. Co wieczór chodziliśmy z Brendanem na długie spacerory. W ciągu dnia niewiele jedliśmy, za to kolacja zawsze była posiłkiem wyjątkowym.

Brendan nie umiał przyrządzać niczego oprócz naleśników z czarnymi jagodami, chociaż zarzekał się, że gdyby miał więcej czasu i praktyki, byłby niezłym kucharzem. Dlatego ja przygotowywałam posiłki, a on nakrywał do stołu i zmywał naczynia. Kiedy pracował, wkładał T-shirt ratownika Czerwonego Krzyża. Bardzo mi się w nim podobał.

Lubiliśmy tańczyć przy muzyce z płyt kompaktowych albo radia. Uwielbiałam być w objęciach Brendana, czuć go blisko siebie, słuchać, jak cichutko nuci piosenki, na przykład: „Something to Talk About”, „Do You Remember” Jill Scott,

„Sweet Baby James”, „The Logical Song”, „Bad to the Bone”, „Let's Spend the Night Together” i wiele, wiele innych, zarówno przebojów rockowych, jak i spokojnych ballad.

Były to nasze piosenki, piosenki naszego lata.

Pewnej niedzieli Brendan zasnął wcześniej niż ja, zabrałam więc ostatni pakiet listów Sam do kuchni. Niedawno przeliczyłam koperty. Było ich sto siedemdziesiąt. Najdłuższe listy miały prawie dwadzieścia stron; najkrótsze - jeden akapit. Przeczytałam przynajmniej trzy czwarte z nich. Był to spadek po Sam. Wkrótce skończę.

Usiadłam przy stole kuchennym i w jasnym świetle lampy wiszącej nad moją głową zaczęłam czytać kolejny list.

Kochana Jennifer!

Po powrocie z Copper Harbor rozłąkę z Do-kiem znosiłam gorzej, niż mogłam się spodziewać. O wiele gorzej. Był to dowód, jak głęboka, jak silna jest nasza miłość. Jesienią podczas wieczornej rozmowy telefonicznej doszliśmy do wniosku, że znów musimy gdzieś razem wyjechać.

Oczywiście musieliśmy czekać wiele miesięcy. Kiedy jednak Charles zaplanował wyprawę golfową na czerwiec, ja także miałam swoje plany. Tym razem do mnie należała decyzja, dokąd pojedziemy. Mój wybór padł na miasteczko Holland na wschodnim wybrzeżu jeziora Michigan.

Podobnie jak poprzednio spotkaliśmy się na parkingu w Alpine Valley. Ściskaliśmy się, całowali i śmiali jak para nastolatków. Potem wyruszyliśmy w drogę. Czekala nas sześciogodzinna podróż: dwie godziny jazdy samochodem i cztery na promie „S.S. Badger”, który sam w sobie stanowił atrakcję turystyczną.

Nie chciałam nigdy więcej rozstawać się z Do-kiem. Oparci o reling, patrzyliśmy, jak prom po-

woli oddała nas od rzeczywistości, zostawiając za sobą długi spieniony ślad. W restauracji na pokładzie wypiliśmy gorącą czekoladę, a w niewielkiej sali kinowej obejrzelśmy nasz pierwszy wspólny film („Różową Panterę”). Kiedy przybiliśmy do brzegu, mieliśmy ogorzałe od słońca twarze i rozśpiewane serca. Byliśmy zakochani, a nasz weekend w Michigan był jeszcze bardziej udany niż poprzedni. Neil Simon napisał „Za rok o tej samej porze” chyba na podstawie naszych przeżyć.

Żeby się nie rozwodzić, Jennifer, opiszę Ci tylko najważniejsze i najsmutniejsze wydarzenia.

Następnego lata Charles wyjechał w lipcu, a my już mieliśmy zaplanowaną wspólną wyprawę. Pojechaliśmy na północ - i tam Doc znowu mnie zaskoczył. Wynajął łódź mieszkalną w La Crosse w stanie Wisconsin, w miejscu, gdzie łączą się trzy rzeki: La Crosse, Black i Missisipi. Weszliśmy na pokład i za półtorej godziny przybiliśmy do brzegu w małej miejscinie Wabasha w Minnesocie. Tam urządziliśmy sobie królewską ucztę, na którą składały się: pieczony bażant z rodzynkami, nadziewane kabaczkę, a na deser szarlotka. Był to chyba najlepszy posiłek na świecie. Potem wróciliśmy do przystani w La Crosse i zarzuciliśmy kotwicę na noc. Ustawiliśmy na pokładzie podwójną koję. Następnego ranka - również na pokładzie - wzięliśmy prysznic, piszcząc w strugach wody. Potem wraz z wieloma innymi łodziami braliśmy udział w dorocznych obchodach Riverfest. Do późnej nocy na wodzie grały różne zespoły, odpalano sztuczne ognie, wszędzie było pełno rozradowanych dzieciaków, do których należeliśmy i my. Przez cztery dni byłam w niebie i nie chciałam wracać na ziemię. Niestety, musiałam.

Za czwartym razem zaplanowaliśmy wyprawę do Nowego Jorku. Czekałam na nią niecierpliwie całe dziewięć miesięcy. W hotelu „Plaża” zamówiliśmy pokój z widokiem na Central Park, załatwiliśmy bilety na dwa przedstawienia na Broadwayu, miejsca na stadionie Yankee, dokonaliśmy rezerwacji w restauracjach. To miały być nasze najwspanialsze wakacje.

Kiedy czekaliśmy w sali odpraw na lotnisku O'Hare, nagle zobaczyli mnie klienci Charlesa i zawołali mnie po imieniu. Okazało się, że mają bilety na ten sam lot. Omal nie zemdlałam i okryłam się pąsem.

Doc stał nieopodal i przerzucał „New York Timesa”. Ze zdziwieniem zauważył, jak witam się z Hennesseyami i zmyślam na poczekaniu, że czekam na przyjaciółkę, która przylatuje następnym samolotem. Zorientowawszy się w sytuacji, Doc oddalił się. Po krótkim czasie odszukaliśmy się i zrezygnowawszy z wyprawy do Nowego Jorku, powędrowaliśmy do samochodu. Byłam załamana.

- W niezłe tarapaty nas pani wpakowała, pani Stanley - zażartował Doc i uruchomił silnik.

- Nakłamałam Hennesseyom - powiedziałam.
- Zapewne opowiedzą wszystko Charlesowi. Musimy jechać prosto do domu.

Doc skinął głową ze smutkiem, wyjechał z parkingu i po chwili opuściliśmy lotnisko. Był piękny poranek, jasny, pełen obietnic. Co za wstyd! Kiedy wyjechaliśmy na autostradę, zmagalam się z uczuciem potwornego zawodu.

- Wiesz - rzuciłam - mam pomysł.

Doc uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wiedziałem, Samantho. Zresztą i tak nie zawiózłbym cię do domu.

ROZDZIAŁ 57

Jennifer!

Lundstromowie byli zaskoczeni, gdy o zmierzchu zjawiliśmy się w recepcji, ale ucieszyli się, że nas widzą. Na szczęście mieli wolny domek. Wzięliśmy klucz i ruszyliśmy dobrze nam znaną ścieżką, skąpaną w blasku księżyca, wśród nocnych odgłosów lasu. Nie mogłam się doczekać, kiedy znów znajdę się w ramionach Doka. Straciliśmy już pół dnia!

Po drodze wydarzyło się coś, co z pewnością zapamiętam do końca życia. Kiedy minęliśmy zakręt, z zarośli wyłoniła się sylwetka jakiegoś zwierzęcia. Było większe od konia i potwornie śmierdziało. Ryknęło na nas! Pewnie i ono się przestraszyło. Zamarliśmy w bezruchu i patrzyliśmy, jak bestia, stukając kopytami, przecina ścieżkę, a potem schodzi po zboczu w dół.

- To był łoś - stwierdził Doc, gdy w końcu podnieśliśmy bagaż i zapaliliśmy latarki.

Szybko powędrowaliśmy do domku. Długo nie mogliśmy zasnąć. Gdy „noc łośia” miała się ku końcowi, zaczęliśmy się śmiać z tego, jak niewiele brakowało, żebyśmy wpadli na lotnisku O’Hare. Postanowiliśmy w przyszłości przezorniej układać plany, aby taka sytuacja się nie powtórzyła. Od tego czasu spędzaliśmy nasze weekendy w Copper Harbor nad jeziorem Superior. Mike i Marge Lundstromowie zostali naszymi przyjaciółmi, a domek z widokiem na jezioro stał się naszą przystanią.

Nikt nie zna naszej tajemnicy, Jennifer. Nikt nawet się nie domyśla, że coś łączy mnie z Dokiem, nikt nie wie o naszym podwójnym życiu.

Ty również nie waż się nikomu o tym mówić.
Ani opisywać w felietonie. Albo, Boże broń, w
książce.

ROZDZIAŁ 58

Droga Jen!

To, o czym chcę napisać, wydarzyło się cztery lata temu, ale aż do dziś nie zdołałam Ci powiedzieć, co w związku z tym czułam.

Był chłodny marcowy wieczór. W Chicago sypał śnieg, dużo śniegu. Wiatr zawodził jak ranne zwierzę. Szykowaliśmy się właśnie do snu, gdy Charles poprosił mnie, żebym poszła po likier anyżowy. Miał jakąś niestrawność i myślał, że to mu złagodzi dolegliwości. Jak już nieraz bywało.

Mimo że Charles źle mnie traktował, zwykle bez słowa spełniałam wszelkie jego prośby i zajmowałam się nim najlepiej, jak potrafiłam. Musiałam iść od razu, ponieważ za chwilę zamykano sklep monopolowy. Wyszłam, nie zważając na śnieg i wiatr. Charles nieraz mówił o mnie „niezawodna Sam”, sądząc, że jest to wyraz uznania, a nie lekceważenia.

Gdy wróciłam po dwudziestu minutach, twój dziadek nie żył.

Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy wychodziłam, Jen. Miał na sobie swoją ulubioną niebieską piżamę, w popielniczce wciąż zarzył się papieros, a w telewizorze spiker czytał wieczorne wiadomości. Wciąż nie mogę uwierzyć, że odszedł tak nagle. Zawał serca był jak pęknięcie opony, które sprawia, że samochód zderza się z budką telefoniczną. Katastrofa w ułamku sekundy.

Nikt nie wiedział, że Charles ma chore serce, zresztą nigdy nie zważał na to, co je, pije czy pali, a zwłaszcza co robi późną nocą. Mimo wszystko, co napisałam w tych listach, Jennifer, mieliśmy dzieci, wnuki i wiele, wiele wspólnych przeżyć. Kiedy patrzyłam na jego nieruchome ciało, widziałam twarz młodego człowieka, którego poznałam przed laty. Skorego do żartów młodzieńca, który brał udział w wojnie, marzył o miłości rodziców i z trudem torował sobie drogę w świecie. Przypomniałam sobie obietnicę, którą łudziły nas tamte dni, miłość, którą chciałam i z pewnością mogłam dać Charlesowi.

Jakie to smutne. Bywają jednak smutne historie.

ROZDZIAŁ 59

Nazajutrz długo rozmawiałam z Sam o moim dziadku i Doku. Po raz pierwszy tak szczerze, od chwili kiedy wyszła ze śpiączki. Z każdym dniem babcia czuła się lepiej.

- Wczoraj wieczorem przeczytałam kilka listów - powie działam jej zaraz po przyjeździe. - Czytam tak, jak prosiłaś, partiami. Jeden list był o śmierci dziadka Charlesa. Popłakałam się, Sam. Czy ty też płakałaś? Nie napisałaś o tym w liście.

Ujęła moją dłoń.

- Och, oczywiście. Mogłam szczerze pokochać Charlesa, niestety, on mi to uniemożliwił. Był bardzo inteligentny, ale też niezwykle uparty. Tak bardzo został zraniony przez ojca i wuja, że nie potrafił już nikomu zaufać. Naprawdę nie wiem, Jennifer. Właściwie Charles nigdy nie powiedział mi o sobie wszystkim.

Do oczu napłynęły mi łzy. Słuchałam słów babci z ogromnym smutkiem.

- Zawsze był dla mnie dobry, Sam.
- Wiem, Jennifer. Wiem.
- Był porywczy, to prawda. A zasadom dziadka Charlesa musieli się podporządkować wszyscy, nie tylko w Chicago, ale nawet tu, nad jeziorem.

Sam uśmiechnęła się.

- Och, nie musisz mi mówić o zasadach dziadka. Znam je doskonale. Podobnie jak jego porywczość.

Spojrzałam jej w oczy.

- W takim razie dlaczego go nie rzuciłaś? - Tego nie mogłam zrozumieć.

Sam tylko się uśmiechnęła.

- Przeczytaj wszystkie listy, wtedy porozmawiamy. Pamiętaj jednak, pisałam je nie tylko z myślą o sobie... ale też o tobie, kochanie.

Nie mogłam się nie roześmiać.

- Czyżby istniały też zasady Sam?
- Nie zasady, Jennifer. Raczej inna droga, którą szłam przez życie. Mój sposób widzenia rzeczywistości.
- I nie powiesz mi, kim jest Doc?
- Nie powiem. Przeczytaj listy. Może sama do tego dojdiesz.

ROZDZIAŁ 60

Codziennie wieczorem pływaliśmy z Brendanem w jeziorze. Pewnego wieczoru przyszedłam w kostiumie kąpielowym Speedo, niebieskim z czerwonymi wypustkami. Wyglądałam jak prawdziwa mistrzyni pływacka, którą wcale nie byłam. Brendan miał na sobie czarne bokserki, świetnie dopasowane do figury.

- Prezentujesz się fantastycznie - powiedziałam. - Czy nie narażam się na zarzut seksizmu? Zresztą, co mi tam!

- To ty wyglądasz prześlicznie - powiedział Brendan. - Jesteś wspaniałą kobietą, Jennifer - dodał poważnie.

Rzadko słyszałam takie komplementy, dlatego chętnie w nie wierzyłam. Lubię słyszeć miłe słowa o sobie. Zresztą, kto nie lubi? Może Cameron Diaz robi się niedobrze od słuchania komplementów, ale mnie nie.

- Na twój widok, Jennifer, zapiera mi dech w piersiach. Mogłabyś być gwiazdą filmową - ciągnął.

- Nie przesadzaj. Lepiej już przestań.

- Przepraszam, tak po prostu czuję. Taka jest moja osobista opinia. Inni może patrzą na ciebie inaczej i widzą... och... sam nie wiem... Rosie...

- Chyba jednak przesadzasz.

- A ja widzę najpiękniejszą dziewczynę na świecie.

Potrząsnęłam głową.

- Stop, Brendanie. Teraz posunąłeś się zdecydowanie za daleko. Włącz wsteczny. Byle nie za ostro.

- To może nad jeziorem? Najpiękniejsza dziewczyna nad jeziorem?

Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się.

- Na to chyba mogę przystać. Nad jeziorem w tej chwili, kiedy nie ma tu nikogo.

- Dobra, w takim razie załatwione... Jesteś najpiękniejszą dziewczyną nad jeziorem!

Potem Brendan wydał swój chyba najgłośniejszy okrzyk. Zupełnie jakby go coś zabiło. Wskoczył do wody sekundę przede mną.

Tylko sekundę.

- Kto dopłynie ostatni do boi, ten... - zaczął i odwrócił się do mnie.

- Ten co?

- Będzie największym przegranym na świecie!

- Znów przesadzasz!

- Największym przegranym nad jeziorem. Wśród tych, którzy znajdują się w polu naszego widzenia.

- Zgoda!

Zaczęliśmy machać rękami jak szaleni. Czulałam się bardzo dobrze, dlatego uznałam, że tym razem nie powinnam przegrać tak sromotnie jak zwykle, co uznałabym oczywiście za ogromny sukces. Chwilę później wynurzyłam się z wody i dotknęłam boi. Ku mojemu zaskoczeniu Brendan dopłynął do niej parę sekund później. Strząsnęłam wodę z twarzy i włosów.

- To nie fair! Pozwoliłeś mi wygrać! - zawołałam.

Brendan spojrział mi w oczy. Uśmiechał się, ale w jego oczach dostrzegłam coś dziwnego

- Wcale nie, Jennifer. Naprawdę.

ROZDZIAŁ 61

Następnego dnia lało jak z cebra, tymczasem Brendan zniknął na kilka godzin. Zaczynałam się o niego martwić. Bałam się, że z którejś z takich wypraw może nie wrócić, że podczas jazdy poczuje się źle, może nawet straci przytomność, a wtedy stanie się coś złego. Wreszcie koło czwartej podjechał pod dom. Do tego czasu ulewny deszcz przeszedł w niewielką mżawkę.

Czekałam na Brendana tak długo, że wybiegłam przed drzwi i pocałowałam go przez opuszczoną szybę. Byłam taka szczęśliwa, że go widzę.

- Gdzie się podziewałeś? - spytałam. - Obudziłam się koło siódmej, ale ciebie już nie było.

- Miałem badanie w Chicago. Chrapałaś, więc uznałem, że nie ma sensu cię budzić.

Zrobiłam głupią minę.

- Ależ ja nie chrapię.

- Chrapiesz, chrapiesz.

Brendan uśmiechnął się do mnie.

Postanowiłam, że nie pozwolę mu się wymigać.

- Jak wypadło badanie?

Brendan zamrugał oczami: widać było, że się zastanawia, ile mi powiedzieć.

- Guz powiększa się - oznajmił w końcu. - Obawiam się, że to nie najlepsza wiadomość. Nie jest to zresztą niespodzianka.

Potem położył dłoń na lewym policzku i postukał weń palcami.

- Zaczynam tracić czucie, Jennifer. Mam zdrętwiałą twarz. Nie czuję dotyku palców.

Trąciłam go lekko w policzek.

- Przykro mi. Tego również nie poczułem, ale i tak kocham twój dotyk. Kocham wszystko, co się z tobą wiąże, Jennifer. Pamiętaj o tym.

Wysiadając z samochodu, Brendan zachwiał się, omal nie upadł. Nagle zdałam sobie sprawę, jak podły musiał mieć dzień. Uśmiechnął się jednak, a potem dotknął mojego policzka.

- Chciałbym się zdrzemnąć. Chyba pójdę do Shepa. Do zobaczenia, Jen.

- Dobrze się czujesz? - spytałam.

Chciałam wziąć go za rękę, pomóc, ale bałam się, że nie będzie z tego zadowolony.

- Oczywiście. Jestem trochę zmęczony. Nic mi nie będzie. Muszę się tylko zdrzemnąć.

Była zaledwie czwarta po południu, mimo to położyłam się obok Brendana. Chciałam być przy nim, czuć jego dotyk, dać mu w ten sposób do zrozumienia, że go nie opuszczę. W głębi duszy byłam jednak przerażona. Chyba po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że wcześniej czy później stracę Brendana, wyobraziłam sobie, jak to będzie. Doprowadzało mnie to do rozpacz.

- Dzięki - szepnął. - Jestem zmęczony.

Potem zasnął.

Spał niespokojnie. Kilka razy zacisnął pięści. Po jakimś kwadransie otworzył oczy. Sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Do diabła, Jennifer. Chyba spałem, a czuję się, jakbym spadł z urwiska.

Spytałam, czy go coś boli. W odpowiedzi poprosił, żebym przyniosła z kieszeni jego kurtki fiolkę z tabletkami. Kiedy wróciłam, nie było go w łóżku; usłyszałam, że wymiotuje w łazience. Teraz naprawdę się przestraszyłam. Nie byłam na to przygotowana. Brendan wciąż mnie ostrzegał, że jego stan może się gwałtownie pogorszyć. Ale chyba w to nie wierzyłam.

- Percocet na pewno zwali mnie z nóg, Jen - powiedział, wyszedłszy z łazienki. - Prześpię cały dzień. Może poszłabyś do siebie? Proszę. Zrób to dla mnie. Bardzo cię kocham. Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie, nie tylko nad jeziorem. Ale chciałbym zostać sam.

To było trochę dziwne, ale nie mogłam... albo nie chciałam się z nim kłócić. Pocałowałam go w czoło, w policzek, a potem delikatnie w usta.

- To poczułem. - Uśmiechnął się.

Więc pocałowałam go jeszcze raz.

I jeszcze raz.

I wcale nie chciałam przestać.

ROZDZIAŁ 62

Przez całą noc dręczyły mnie złe przecucia. Shep wyjechał do Chicago, a ja co kilka godzin zaglądałam do Brendana. Nad ranem w końcu zasnęłam w domu Sam. Brendan powiedział mi wprost, że nie chce, bym tę noc spędziła z nim. Czułam, że muszę uszanować jego prośbę.

Obudziłam się rankiem sama w swoim dawnym pokoju. Światło słoneczne przenikało przez lekkie zasłony. Natychmiast przypomniałam sobie o Brendanie. On wkrótce umrze - pomyślałam. Najgorsze było to, że nic nie mogłam zrobić.

Przez chwilę nasłuchiwałam, jakbym się spodziewała usłyszeć jego okrzyk. Potem przypomniałam sobie, że gdy go zostawiłam, był oszołomiony środkami przeciwbólowymi. Wstałam z łóżka i włożyłam pierwsze z brzegu czyste rzeczy, które wpadły mi w ręce: sprane spodnie w kolorze khaki i biały T-shirt. Wsunęłam bose stopy w adidas i powędrowałam do kuchni.

Wyjrzałam przez okno. Na zewnątrz nie było żadnego nagiego mężczyzny, który wydawałby dzikie okrzyki.

Dżip błyszczał na podjeździe. W porządku. To znaczy, że Brendan jest w domu. Może przynajmniej będę mogła zrobić mu śniadanie.

Weszłam do domu Shepa przez niezamknięte tylne drzwi i wołając Brendana, zaczęłam przeszukiwać pokoje na parterze. Nikogo nie było, pobiegłam więc do sypialni na tyłach domu. Była pusta. Na łóżku leżała ładna biała bawełniana narzuta.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Brendana nie ma w domu. Zniknęły również jego rzeczy.

Otworzyłam siatkowe drzwi, które prowadziły na górny taras. Brendan ostatnio go pomalował i zabezpieczył przed deszczem. Z góry spjrzałam na podwórko i dalej. Brendana nie było.

Czułam, że ogarnia mnie panika, choć bardzo starałam się opanować. Może Shep będzie wiedział, gdzie jest Brendan. Zbiegłam na parter. Moje adidas ślizgały się po wypolerowanych deskach. Rozglądałam się w poszukiwaniu telefonu.

Nagle zobaczyłam niewielki stosik drobiazgów z kluczykami na wierzchu... Zrozumiałam, że Brendan zostawił go dla mnie. Wszystko to leżało na białym kuchennym blacie: biała koperta, kluczyki od samochodu, wizytówka z czerwonym ptakiem.

Była to wizytówka miejscowego przedsiębiorstwa taksówkowego Cardinal Transport.

Kluczyki były od dżipa.

Na kopercie widniało moje imię. Kiedy wzięłam ją do ręki, poczułam, że w środku przesunął się jakiś ciężki brzęczący przedmiot. Rozerwałam kopertę, a wtedy na moją dłoń wypadł zegarek Brendana. Serce stanęło mi w gardle.

Znalazłam także list.

ROZDZIAŁ 63

Kochana Jennifer!

Jest po piątej nad ranem. Za chwilę taksówka zabierze mnie na lotnisko. Czuję się bardzo, bardzo samotny. Na pewno będziesz zła, że żegnam się z Tobą w taki sposób, ale proszę, wysłuchaj, zanim mnie osądzisz. Piszę, póki jeszcze jest to możliwe. Póki mogę, chcę Ci wyjaśnić pewne rzeczy. Pragnę zminimalizować Twoje cierpienie. Wierzę, że wybrałem najlepszy sposób, a właściwie - moim zdaniem - jedyny.

Nie wiem, czy pamiętasz, że gdy byliśmy dziećmi, nie mogliśmy się doczekać wakacji. Zaczynałem o nich myśleć już na początku maja, kiedy dni stawały się dłuższe. Zawsze, niezmiennie, miałem nadzieję, że tego lata słońce nie będzie wschodziło ani zachodziło, że - tak jak to bywa na Północy - dzień będzie trwał przez całe lato. Nadchodził czerwiec i dni naprawdę trwały niemal bez końca, ale już po święcie 4 Lipca noc zabierała nam coraz więcej dnia, a my musieliśmy się pogodzić z tym, że istnieje zarówno światło, jak i ciemność.

Tak samo teraz, Jennifer. Miałem nadzieję, wręcz modliłem się, żebyśmy mieli więcej czasu, żebyśmy zdążyli razem zrobić wszystko to, na co mamy ochotę. Niestety, wcześniej czy później

ciemność i tak musi nadejść, prawda? Bo takie jest życie.

Wiem jedno: życie nie mogło mi dać nic lepszego niż chwile spędzone z Tobą i chcę, by zostały po nich tylko piękne wspomnienia. Tak bardzo Cię kocham. Ubóstwiam Cię, Jennifer. Naprawdę. Pobudzasz mnie do działania. Mam nadzieję, że mi wybaczysz i zrozumiesz, z jak ogromnym bólem Cię opuszczam. Już nie popływam w jeziorze. Nie zjem pysznych naleśników z czarnymi jagodami.

To była najtrudniejsza decyzja w moim życiu! Mimo to w głębi serca jestem przekonany, że postępuję słusznie.

Kocham Cię tak bardzo, że myśl o tym przyprawia mnie o ból. Wierz mi, proszę.

Jesteś moim światłem, moim niekończącym się latem.

Brendan

Część trzecia

Wyjazd z Lake Geneva

ROZDZIAŁ 64

Gdy skończyłam czytać list Brendana, z trudem oddychałam, a twarz miałam zalaną łzami. Byłam pewna, że Brendan odszedł z mojej winy. Tak samo jak z mojej winy Daniel zginął na Hawajach. Włożyłam na rękę zegarek Brendana, a potem zadzwoniłam do kancelarii adwokackiej jego wujka w Chicago. Powiedziałam sekretarce, że koniecznie muszę porozmawiać z Shepem. W końcu usłyszałam dobrze mi znany spokojny męski głos.

- Shep, Brendan odszedł - jęknęłam.
- Wiem, Jen. Rozmawiałem z nim dziś rano. Tak jest lepiej.
- Nie, nieprawda - zaprotestowałam. - Proszę, powiedz mi, gdzie on jest? Co robi?

Shep przez chwilę mruczał i wzdychał, a na koniec powiedział dokładnie to samo, co wyczytałam w liście. Że Brendan nie chce zatruwać mi życia ostatnim etapem swojej choroby. Że mnie kocha. Że bardzo trudno było mu odejść. I że się boi.

- Muszę się z nim zobaczyć - oznajmiłam. - Nasza znajomość nie może się tak skończyć. Nie zgadzam się na to. Jeśli to będzie konieczne, Shep, przyjadę do twojego biura w Chicago.

Shep ciężko westchnął.

- Wiem, co czujesz, ale Brendan wymógł na mnie obietnicę, że ci nie powiem. Dałem mu słowo.

- Shep, muszę go zobaczyć. Czyja w tej sprawie nie mam nic do powiedzenia? Źle się stało, że Brendan podjął taką decyzję beze mnie.

Zapadła cisza. Przestraszyłam się, że Shep odłoży słuchawkę. W końcu się odezwał.

- Dałem mu słowo. Stawiasz mnie w bardzo trudnej sytuacji, ale co tam, Jennifer, do diabła z tym... Brendan jest w drodze do kliniki Mayo.

Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

- Co powiedziałaś? Idzie do szpitala?

- Mayo to najlepsza klinika onkologiczna - wyjaśnił Shep. - Jutro rano ma być operowany.

ROZDZIAŁ 65

Czułam ucisk w żołądku, tak samo jak półtora roku temu, gdy szłam do szpitala w Oahu, by zidentyfikować zwłoki Danny'ego. Tyle że teraz siedziałam w samochodzie i pędziłam na południe autostradą 1-94. Na rozwidleniu zjechałam na 1-294 i ruszyłam w stronę O'Hare.

Przez telefon komórkowy porozumiałam się z Sam, wyjaśniłam jej tyle, ile mogłam, na co usłyszałam, że jestem najodważniejszą istotą, jaką zna, i że jest ze mnie dumna. Potem obie popłakałyśmy się przez telefon, jak za dawnych czasów.

Ludzie bacznie mi się przyglądali, gdy wsiadałam do samolotu, który leciał do Rochester w Minnesocie. Miałam pozbawioną wyrazu twarz, opuchnięte, czerwone oczy i byłam na wpół przytomna.

Półtorej godziny później wynajętym samochodem jechałam do kliniki Mayo. Wiedziałam, że wkrótce zobaczę Brendana, wiedziałam, że jest tam, gdzie być powinien, to znaczy w jednym z najlepszych szpitali onkologicznych na świecie.

ROZDZIAŁ 66

Przez przeszklone drzwi obrotowe weszłam do chłodnego, zielonego foyer głównego budynku kliniki Mayo - St. Marys. Była to rozległa przestrzeń o marmurowych ścianach i stropie wspartym na marmurowych kolumnach. Podeszłam do biurka w recepcji, przedstawiłam się i spytałam, jak znaleźć salę Brendana.

- Doktor Keller załatwił już wstępne formalności. Jutro o szóstej ma się zgłosić w Joseph Building. W tej chwili go tu nie ma - usłyszałam.

Moja twarz wyrażała zapewne taką głębię rozczarowania, że młoda recepcjonistka otworzyła notes. Przesunęła palcem wzdłuż listy, potem bacznie mi się przyjrzała.

- Mówił, że ktoś może go szukać.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- To właśnie ja.

- Doktor Keller zatrzymał się w Colonial Inn przy Second Street, Southwest - poinformowała.

Zapytałam jeszcze o drogę i wkrótce siedziałam za kierownicą wynajętego samochodu. Minuty mijały, a ja tkwiłam w ulicznym korku. Tego w Rochester się nie spodziewałam. Wreszcie zdołałam się wydostać. Gdy po jakimś czasie podjechałam pod Colonial Inn, trzęsłam się jak liść osiki.

Znalazłam pokój numer sto czterdzieści trzy i zapukałam. Cisza.

- Proszę, Brendanie, otwórz - powiedziałam. - Przejechałam taki szmat drogi. To ja, Jennifer... najładniejsza dziewczyna nad jeziorem.

W końcu drzwi się otworzyły. Stał w nich Brendan. Wysoki, barczysty, wciąż wyglądał ładząco zdrowo. Błękit jego oczu przypominał letnie niebo. Wyciągnął rękę.

- Witaj, Smyku - szepnął. - Najładniejsza dziewczyno w Rochester, w Minnesocie.

ROZDZIAŁ 67

- Byłam na ciebie wściekła - powiedziałam, mocno ścisnąc Brendana.

- A teraz? Co czujesz teraz, Jennifer?

- Masz w sobie tyle uroku, że zupełnie zapomniałam, o co mi chodziło.

- Nie wiedziałem, że mam jakiś urok.

- Tak przypuszczałam. To po prostu część ciebie. Coś w twoich błękitnych oczach.

Przez chwilę tuliliśmy się do siebie w drzwiach, potem odsunęłam się od niego. Dopiero wtedy zauważyłam, że ruchy Brendana są wyraźnie wolniejsze i trochę nieskoordynowane - czy to pod wpływem środków przeciwbólowych, czy rozwijającej się choroby. Gdy usiedliśmy na kanapie, przeczesałam mu palcami włosy.

- A teraz jesteś już szczęśliwa? - spytał.

- Uhm - odparłam.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem - wyznał, całując mnie. Potem Brendan odchylił głowę do tyłu i wbił wzrok w sufit. Przez chwilę był nieobecny.

- Mam ci podać harmonogram? - spytał wreszcie. Przytaknęłam. Zorientował się, że nie mam zamiaru nigdzie wyjeżdżać.

Położył dłoń na moim kolanie.

- Punktualnie o szóstej muszę być w szpitalu. Operacja zaczyna się o siódmej. Operuje Adam Kolski. To dobry chirurg.

- Tylko dobry?

- Świetny. Prawdę mówiąc, fantastyczny - wyznał Brendan. Nagle na jego twarzy pojawił się wspaniały uśmiech. - Rzecz jasna, dali mi najlepszego.

- Jakżeby inaczej. - Dopiero teraz udało mi się naprawdę uśmiechnąć.

- Muszę cię ostrzec. Pojutrze będę wyglądał, jakbym zawarł zbyt bliską znajomość z walcem drogowym. I to pod warun-

kiem, że wszystko pójdzie dobrze. Mam nadzieję, że naprawdę wierzysz w mój urok osobisty, coś, co jest w moich oczach.

- Kocham w tobie wszystko - zapewniłam. - A najbardziej kocham cię za to, co właśnie masz zamiar zrobić.

Brendan znów mnie pocałował, a ja wtuliłam się w jego ramiona.

- Wybierzmy się na miasto - zaproponował. - Chciałbym pokazać ci Rochester. Niech to będzie randka.

ROZDZIAŁ 68

Randka. To pełne wdzięku określenie przypomniało mi całą cudowność tego, co łączyło mnie z Brendanem. Mieliśmy podobny typ aktywności życiowej, wspólne zainteresowania i pasje, takie samo poczucie humoru. A przecież tak trudno spotkać kogoś, kto pasuje do ciebie jak druga połówka jabłka, czasem wydaje się to wręcz niemożliwe. I tylko nielicznym się udaje.

Ja siedziałam za kierownicą, Brendan pilotował. Jakieś pięć, sześć kilometrów od hotelu, już w pobliżu szpitala, powiedział, żebym postarała się gdzieś tu zaparkować. Tymczasem boczna uliczka, w której się znajdowaliśmy, była niezwykle zatłoczona jak na powszedni dzień.

- Co tu jest? - spytałam.

- „Stephen Dunbar's Pub” - powiedział Brendan. - Kiedy mieszkałem w Rochester, tu właśnie rozładowywałem wszystkie stresy. Tu chciałbym zabrać cię na randkę.

- Bar? - spytałam. - „Stephen Dunbar's Pub”?

Przytaknęłam.

- Chyba nie powinienem dzisiaj pić - stwierdził. - Ale na pewno mogę tańczyć.

W lokalu było jeszcze trochę wolnych miejsc. Panował miły, spokojny nastrój. Goście tańczyli w rytm mojej ulubionej ballady Red Hot Chili Peppers „Under the Bridge”.

Brendan wziął mnie w ramiona.

- Lubię tę piosenkę - szepnęła tuż przy moim policzku i od razu wszedł w rytm melodii. - I lubię z tobą tańczyć. Dzięki ci, Panie, za Jennifer - ciągnął. - Jest fantastyczna. Nie chcę od życia niczego więcej.

Jego słowa brzmiały jak modlitwa.

- Kiedyś widziałam, jak się modlisz. Klęczałeś na środku pokoju - wyznałam.

- To ta sama modlitwa - zapewnił mnie Brendan, mrużąc oko. - Powtarzałem ją przez całe lato.

Tańczyliśmy w rytm wolnych melodii z szafy grającej, nie przyspieszaliśmy też przy żywszych. Pragnęłam, aby Brendan ani na chwilę nie odsuwał się ode mnie.

- Czy może być coś lepszego? - spytał. - Randka z najcudowniejszą dziewczyną, w dawnym ulubionym lokalu w mieście, w którym chodziłem do szkoły.

Tak bardzo kochałam Brendana, że nie potrafiłam nawet myśleć o tym, co miało się wydarzyć następnego ranka. Wbrew mojej woli łzy napłynęły mi do oczu.

- Nie bądź taki sentymentalny - powiedziałam.

- Tylko bez łez - pogroził żartobliwie i roześmiał się, ocierając mi oczy.

Brendan był zawsze gotowy do śmiechu. O każdej porze. W każdej sytuacji, nawet w tej.

Tańczyliśmy dalej w rytm starej piosenki Miracles.

- Kiedy już będzie po wszystkim, wybierzemy się w podróż - zaproponował. - Nigdy nie byłem we Florencji ani w Wenecji. W Chinach, Afryce... Jest tyle miejsc wartych obejrzenia, Jen.

Do oczu znów napłynęły mi łzy.

- Nic na to nie poradzę. Na ogół nie jestem taka czułościowa - usprawiedliwiałam się.

- Och, chwila sprzyja czułościowości. Pocałuj mnie jeszcze raz. Całuj mnie, nie przestawaj. Póki nie zabiorą mnie na salę operacyjną.

Więc pocałowaliśmy się jeszcze raz. W końcu jednak wróciłam do Colonial Inn. Myślałam, że Brendan natychmiast zaśnie. Ale nie.

- ...każdy dzień od chwili, kiedy słońce wstanie... - po wiedział.

- ...dopóki nie opadną ci powieki - dokończyłam.

Około trzeciej w nocy w końcu zasnęliśmy w mocnym uścisku. Pamiętam, że pomyślałam: Tak powinno być. Właśnie tak. Przez wiele, wiele lat. Potem zadzwonił budzik.

ROZDZIAŁ 69

Brendan pochylił się i pocałował mnie w usta. Był już ubrany.

- Świta — powiedział. — Chcesz popływać w jeziorze?

- Jak możesz żartować w takiej sytuacji, Brendanie? Powiedz raczej, jak się czujesz.

- Szanse na przeżycie trzech lat z glejakiem wielopostaciowym wynoszą mniej niż...

- W porządku - przerwałam mu. - Pożartuj sobie. Tak chyba będzie lepiej.

Podniosłam się z łóżka i pocałowałam go.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Chyba od pierwszej chwili, kiedy ujrzałam cię nad jeziorem. Byłaś i wciąż jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Na świecie - powtórzył z naciskiem. - Załapałaś?

- Załapałam. - Uśmiechnęłam się. - To oczywiście tylko twoje zdanie.

- Słusznie, ale tak się akurat składa, że w tej sprawie mam rację.

Byłam pewna, że dobrze panuję nad emocjami, nie spodziewałam się więc, że jakiś drobiazg może wytrącić mnie

z równowagi. Zauważyłam, że Brendanowi drżą ręce, kiedy pochylił się, by zapiąć nowe buty. To były adidasy, ale zamiast sznurowadeł miały rzepy. Brendan nie jest już w stanie zawiązać sobie butów - pomyślałam.

Uniósł głowę i zauważył, że bacznie mu się przyglądam.

- Ładne buty.

W wyobraźni pojawił mi się obraz Brendana, jak pływając w jeziorze w letni poranek, wyrzuca nad wodę muskularne ramiona. Teraz nie może zawiązać sznurowadeł! Poczułam ucisk w sercu. Brendan wiedział, co go czeka: ból, przykre skutki uboczne, może nawet śmierć.

Objęłam go.

- Uda ci się - zapewniłam.

Musi się udać.

Po niecałych dwudziestu minutach wyszliśmy z hotelu w oślepiające światło poranka. Brendan, wciąż pozornie zdrowy, oparłszy ręce o dach samochodu, spojrzał w milczeniu na mrugający neon kafejki, potem na kamienny kościół po drugiej stronie ulicy, jakby starał się zapisać w pamięci każdy szczegół otaczającego świata.

- Ładny lokal, ładny kościół, bardzo ładna dziewczyna - powiedział.

Potem usiadł na przednim siedzeniu. Poruszał się trochę sztywno. W końcu zapiął pas, gotów wyruszyć w najważniejszą podróż swego życia.

- Jedźmy, moja piękna. Jesteśmy umówieni chyba gdzieś w Samarze.

Chyba po raz pierwszy tego lata oboje prawie przez cały czas milczeliśmy. Pokonanie drogi z Colonial Inn do garażu w podziemiach St. Marys zajęło nam kilka minut, potem winda zawiozła nas na parter. Stąd przeszklonym korytarzem powędrowaliśmy do Joseph Building. Tam Brendan miał być przygotowany do operacji.

Zatrzymał się, położył mi ręce na ramionach i spojrzał prosto w moje oczy.

- Chyba przeszła mi ochota do żartów, Jennifer. Pozwól, że jeszcze raz ci powiem: kocham cię.

- Pozwalam.

Mów, bez przerwy - pomyślałam. Nie zostawiaj mnie.

- Tak bardzo cię kocham, Jennifer. Cokolwiek się stanie, chcę, żebyś wiedziała, że byłaś wspaniała, cudowna. Bardzo mi pomogłaś, bardziej, niż ci się wydaje. Zrobiłaś wszystko, co możliwe, a nawet więcej... Wiesz o tym, Jennifer?

- Wiem - odezwałam się wreszcie. - Załapałam.

Przytuliłam się jeszcze mocniej. Spod zaciśniętych powiek popłynęły mi łzy.

- Pozwalasz mi płakać - wyjąkałam po chwili.

- Uhm. Tak. Bo ja też płaczę.

Uniosłam głowę i przekonałam się, że to prawda. Pochylił się i całował moje policzki, oczy, usta. Uwielbiałam jego pocałunki, uwielbiałam w nim wszystko. Nie chciałam, żeby odchodził.

- W takich sytuacjach zawsze jest za mało czasu, prawda? - powiedział. - Muszę iść. Już jestem spóźniony, Jennifer.

Gdy dotarliśmy na czwarte piętro, dyżurna pielęgniarka, korpulentna kobieta o silnych piegowatych ramionach, porządkowała papiery. Wezwała sanitariusza z wózkiem. Wtedy po głowie zaczęła mi krążyć myśl, której żadną miarą nie potrafiłam się pozbyć: może już nigdy nie zobaczę Brenda na.

- Kocham cię - szepnęłam. - Będę tu czekać. Będę czekać tu, w tym miejscu.

- Kocham cię, Jennifer - wyznał Brendan. - Któż nie kochałby najpiękniejszej dziewczyny na świecie? Tak czy inaczej, zobaczę cię na pewno.

Już z wózka, jadąc na salę operacyjną, obdarzył mnie swoim cudownym uśmiechem i uniosł do góry oba kciuki. Potem wydał jeden ze swoich dzikich okrzyków znad jeziora.

Nagrodziłam go oklaskami i roześmiałam się.

- Do zobaczenia! - zawołałam. - Do widzenia!
- Brendan obejrzał się z uśmiechem na ustach.
- Żegnaj! - zawołał, zanim straciłam go z oczu.

ROZDZIAŁ 70

Żegnaj?

Nie, nie żegnaj, do widzenia, pomyślałam.

Bezwładnie osunęłam się na wyściełane krzesło w kącie poczekalni i wyobrażałam sobie operację, która odbywa się pode mną, na piątym piętrze. Po jakimś czasie nadszedł Shep z rodzicami Brendana. Nie znałam ich.

- Nie chciał, żebyśmy przyjechali - wyjaśniła pani Keller. - Starał się oszczędzić nam bólu. Uważał, że tak będzie lepiej.

- Zawsze taki był - dodał ojciec Brendana. - Gdy w szkole złamał rękę, powiedział nam o tym dopiero wtedy, gdy już się prawie zrosła. Poznajmy się. Mam na imię Andrew. A to jest Eileen.

Wymieniliśmy uściski dłoni, a potem rodzice Brendana pozwolili płynąć łzom. Wzruszyła mnie ich miłość do syna.

Dzień mijał rozpaczliwie powoli. Co pięć minut spoglądałam na zegarek Brendana. Miałam wrażenie, że wskazówki przesuwają się wolniej niż zwykle. Ojciec Brendana starał się zabijać czas opowiadaniem dowcipów, co mnie nie dziwiło. Najbardziej spodobał mi się: „W jaki sposób komputerowiec kończy modlitwę? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Enter”.

Przez poczekalnię przewijali się inni odwiedzający, niektórzy płakali, inni wyglądali na poważnie zmartwionych. W telewizji bez końca pokazywano serwisy informacyjne, CNBC, ESPN.

Czekałam. Myślałam o tym, czy Shep może być Dokiem. Ale przecież Shep nie wychowywał samotnie dzieci. Więc to nie on... chyba że Sam mnie nabiera.

Koło czwartej wyszłam na chwilę z poczekalni. Chciałam przejść się po Peace Garden. Ogród ten przylegał do zabudowań St. Marys. Wśród kwiatów stała kapliczka świętego Franciszka. Usłyszałam kuranty, które wygrywały uroczą wersję znanej pieśni dziękczynnej. Ukłękłam i pomodliłam się za Brendana. Potem zadzwoniłam do Sam i opowiedziałam jej o wszystkim, co się wydarzyło.

W końcu wróciłam do poczekalni. Nie mogłam wybrać bardziej odpowiedniej chwili. Dziesięć godzin po moim rozstaniu z Brendanem do poczekalni wszedł młody lekarz o ciemnych włosach i twarzy cherubinka. Przedstawił się: Adam Kolski. Wyglądał za młodo jak na chirurga, zwłaszcza „fantastycznego” chirurga.

Próbowałam odczytać coś z wyrazu jego twarzy, ale tego dnia moje dziennikarskie umiejętności wyraźnie mnie zawodziły.

- Wszystko poszło no mojej myśli - powiedział. - Brendan przeżył operację.

ROZDZIAŁ 71

Na oddział intensywnej opieki medycznej odwiedzających wpuszczano za ledwie na kilka minut. I to pojedynczo. Po państwu Kellerach i Shepie przyszła kolej na mnie. Adam Kolski wszedł ze mną, żeby sprawdzić stan pacjenta.

- Czuje się lepiej, niż wygląda - pocieszył mnie.

Brendan był nieprzytomny. Miał głowę spowitą bandażami, spod których wylaniała się sinoczarna twarz. Doktor Kolski wyjaśnił mi, że Brendan jest zaintubowany i na wszelki wypadek podłączony do aparatury podtrzymującej życie.

Brendan miał jedną rurkę w nosie, a drugą, grubszą w gardle; cewnik prowadził do woreczka pod łóżkiem. Kroplówką podawano mu leki, płyny fizjologiczne i środki przeciwbólowe. Elektrody przyklejone do ciała przekazywały do kilku

monitorów parametry funkcji życiowych; na jednej ręce pracował rękaw automatycznego ciśnieniomierza.

- Brendan żyje - szepnęłam. - Tylko to się liczy.

- Tak, żyje - powtórzył doktor Kolski i poklepał mnie po ramieniu. - Żyje dla ciebie, Jennifer. Powiedział mi, że zasługujesz na to, i nie tylko na to. Mów do niego. Możliwe, że w tej chwili jesteś najlepszym lekarstwem, jakiego Brendan potrzebuje.

Potem Kolski wyszedł z sali, a ja zostałam sama z Brendaniem. Zdjęłam zegarek, który mi dał, i delikatnie zapięłam na jego nadgarstku, tuż nad plastikową opaską z imieniem i nazwiskiem. Ścisnęłam palce Brendana i pochyliłam się nad nim.

- Jestem tutaj - szepnęłam w nadziei, że usłyszy mój głos. - Wiesz, że kochałam cię przez całe lato, ale najbarziej kocham cię w tej chwili.

ROZDZIAŁ 72

Wydawało mi się, że moje pięć minut z Brendanem trwało pięć sekund. Tylko przez chwilę trzymałam go za rękę i zaraz zostałam odsunięta przez uprzejmą, acz stanowczą pielęgniarkę, która odesłała mnie z powrotem do poczekalni.

Państwo Kellerowie i Shep proponowali, że zabiorą mnie na obiad, ale byłam zbyt wyczerpana - psychicznie i fizycznie. Nie chciałam opuszczać Brendana. Kiedy wyszli, opadłam na krzesło i rozplakałam się. Niemal przez cały dzień powstrzymywałam się od łez, ale teraz już nie musiałam. Po głowie krążyły mi różne myśli, odzywały się różne głosy. Co będzie jeśli Brendan umrze? Życzliwi powiedzą: „Wciąż jesteś młoda, Jennifer. Popłacz trochę, a potem wróć do normalnego życia. Nie zamykaj serca na miłość”.

Nie zamykam - przecież kocham Brendana! Nie zamknęłam serca na miłość - i proszę, do czego mnie to doprowa-

dziło! Otarłam twarz chusteczkami higienicznymi, potem wbiłam wzrok w rząd pustych krzeseł, stojących pod ostrym światłem jarzeniówek. Zza okna dochodziły odgłosy ruchu ulicznego. Czułam się potwornie samotna.

Minęło dziesięć minut. Potem godzina. Chciałabym porozmawiać z Sam, ale było za późno, żeby dzwonić.

Wreszcie wyjęłam z torebki ostatni pakiet jej listów. Rozwiązałam postrzępiony czerwony sznureczek i rozłożyłam koperty w wachlarz. Na każdej widniało moje imię, napisane czytelnym, zdecydowanym pismem babci.

Przyniosłam sobie kubek kawy z automatu, wsypałam kilka torebek cukru i otworzyłam pierwszą kopertę.

- Chcę usłyszeć twój głos, Sam - szepnęłam.

W białym świetle niekończącej się nocy w szpitalnej poczekalni poznawałam ostatni odcinek historii Sam.

ROZDZIAŁ 73

Kochana Jen!

Wyobraź sobie - w jednej chwili wszystko się zmieniło.

W pewien upalny sierpniowy dzień Doc niespodziewanie zapukał do moich drzwi kuchennych. Kiedy go zobaczyłam, serce zaczęło mi walić w piersiach jak szalone. Byłam zaskoczona, wręcz przerażona. Jennifer, Doc nigdy nie przychodził do mnie przez kuchenne drzwi.

- O co chodzi? - spytałam. - Dobrze się czujesz? Co się stało?

- Zabieram cię na przejażdżkę - powiedział tylko.

- Teraz? W tym, w czym stoję?

- Uhm. Wyglądasz wspaniale, Samantha. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Miłą?
- Najmilszą, jaką udało mi się wymyślić. Od dawna czekałem na taką okazję.

Cokolwiek wymyślił, nie mogłam wyjść w poplamionym fartuchu i rozdeptanych kapciach. Poprosiłam, żeby wszedł, i poszłam na piętro przebrać się. Po piętnastu minutach byłam w ładnej płóciennej niebieskiej sukience. Zdążyłam się nawet starannie uczesać i lekko podmalować usta.

Doc powitał mnie uśmiechem.

- Boże, wspaniale wyglądasz - zachwycił się.

Gdybym miała na sobie worek na śmieci i paltelnę na głowie, Doc i tak uznałby, że wyglądam wspaniale. Powiedziałam mu to. Śmieliśmy się oboje, bo to była prawda.

Po chwili ujął mnie za rękę.

- Samantha, dzisiaj wszystko się zmieni
- A powiesz mi, co takiego się zmieni? - spytałam.
- Nie, chcę ci to pokazać.

Był podekscytowany, ale przede wszystkim tajemniczy, co dodatkowo mnie bawiło. Ja byłam do głębi przejęta - że jestem z nim, że mogę patrzeć na jego twarz i widzę, jak bardzo jest szczęśliwy.

A poza tym wiesz co? Bardzo lubię niespodzianki!

ROZDZIAŁ 74

Jennifer, Jennifer, Jennifer!

W miasteczku nad jeziorem trwał właśnie Festiwal Wenecki, doroczna impreza organizowana na zakończenie lata. Ulice były zatłoczone przez tu-

rystów. Doc znalazł miejsce na parkingu o przecznicy na północ od Main Street i wcisnął do parkomatu pełną kieszeń ćwierćdolarówek. Wyglądało na to, że wybieramy się do wesołego miasteczka i że spędzimy tam sporo czasu.

- I to ma być niespodzianka? - spytałam. - Przecież ja też wiedziałam, że w miasteczku jest festiwal.

- To tylko sceneria - powiedział. - Poza tym nie bądź taka mądrzalska.

Ulubione słowo Doka, jeśli w ogóle można to uznać za słowo.

Dzieciaki piszczały w kolejce wysokogórskiej, w powietrzu unosił się zapach prażonej kukurydzy i waty cukrowej, a mnie nagle uderzyło, że dzieje się coś, czego nigdy nie uważałam za możliwe. Oto spacerujemy z Dokiem po centrum Lake Geneva. trzymając się za ręce. Spojrzałam na niego z wielkim znakiem zapytania w oczach.

- Czy to jest twoja niespodzianka? Trzeba przyznać, że jest wspaniała. Wychodzimy z ukrycia?

Doc powiedział, że właśnie zawiózł swoją najmłodszą pociechę na Vanderbilt University.

- Pisklęta opuściły gniazdo. Przestałem być panem Mamusią - oświadczył. - Jestem wolny.

Wziął mnie w ramiona i pocałował, nie ukrywając się przed Bogiem ani mieszkańcami Lake Geneva. Jego pocałunek był pełen uczucia. Łzy popłynęły mi po twarzy.

Spojrzał mi w oczy.

- Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek ktoś przeżył taki romans jak my, Samantho. Szczerze mówiąc, wątpię.

- Między innymi dlatego nasza miłość jest jedyna w swoim rodzaju.

Słońce świeciło mi w twarz, powietrze było chłodne, a Doc trzymał mnie w ramionach. Byłam szczęśliwa jak nigdy w życiu. To było wspanialsze niż nasze weekendy w Copper Harbor, ponieważ po raz pierwszy byliśmy naprawdę wolni. Dostałam skrzydeł, Jennifer, i nie rozumiem, dlaczego gdy dotarliśmy do Library Park, moje stopy wciąż dotykały ziemi.

Znaleźliśmy pustą ławkę obok tamy. Patrzyliśmy, jak „Lady of the Lake” wypływa z Riviera Docks, potem Doc przyniósł hot dogi i piwo z budki. Zostaliśmy nad wodą aż do zmierzchu, a po zachodzie słońca obejrzelśmy paradę oświetlonych statków i pokaz sztucznych ogni.

Odkryłam też coś zdumiewającego - gdyby to nie było tak zabawne, byłoby obraźliwe. Tego dnia rozmawialiśmy z wieloma znajomymi, ale nikt się nie zorientował, że emanuje z nas szczęście. Rozumiałam to, rzecz jasna. Nie dopuszczali nawet myśli, że my możemy mieć romans. Jak dziwny, odarty z wyobraźni może być świat. Ludzie często wyrzekają się miłości, a przecież miłość to najlepsze, co może im się zdarzyć.

Odwróciłam się do Doka i powiedziałam mu, jak bardzo go kocham, wyznałam również, że nie mógł mi zrobić lepszej niespodzianki. Przyciągnął mnie do siebie.

- Zaczekaj, Samantha. To jeszcze nie koniec.

ROZDZIAŁ 75

Samochód Doka pomrukiwał z zadowolenia, gdy jechaliśmy z rozbawionego miasteczka i mijaliśmy przedmieścia. Nie wiedziałam, co jeszcze za-

planował, póki nie podjechaliśmy pod Yerkes Observatory. Było cicho, słyszałam tylko cykanie świerszczy i bicie własnego serca.

Doc wziął z tylnego siedzenia koc w kratkę i tak jak przed laty przebiegliśmy ukradkiem przez trawnik przed budynkiem. Kolega Doka zostawił dla nas klucz w szczelinie między dwiema cegłami w ścianie. Pokonaliśmy trzy kondygnacje schodów, które prowadziły do największej kopuły, i weszliśmy do ciemnego pomieszczenia.

- Jesteś gotowa? - spytał.

Uśmiechnęłam się, tym razem przygotowana na wszystko.

- Od lat.

Używając maleńkiej jak ołówek latarki, odsukał i uruchomił dźwignię, która uniosła platformę w górę. Zatrzymaliśmy się jakieś półtora metra poniżej okularu teleskopu. Potem za pomocą korb i kołowrotów otworzył kopułę. Zobaczyliśmy duży fragment nieba.

- Spójrz, Samantha. Spójrz. To raj.

- O mój Boże!

Nie mogłam wydusić z siebie nic więcej - byłam naprawdę oczarowana.

Doc stał tuż za mną. Położył mi ręce na ramionach. Patrzyliśmy na niebo przez największe soczewki refrakcyjne na świecie. Rzeczywiście mieliśmy przed sobą raj. Niebo było cudowne. Nie wiedziałam, na co patrzeć. W końcu mój wzrok przyciągnęła cętkowana, czerwona planeta wielkości srebrnej dolarówki.

- To Mars - powiedział Doc.

Wyjaśnił mi, że Mars i Ziemia są tej nocy tak ustawione na swoich orbitach, że Ziemia znajduje się dokładnie między Marsem a Słońcem. Po-

kazał mi przybiegunowe czapki lodu, ciemne plamy „mórz” i coś, co może być burzą piaskową na powierzchni planety pod przymglonym różowym niebem.

- Gdy po raz ostatni Mars był tak blisko Ziemi, jaskiniowcy na Nowej Gwinei trzęśli się z zimna i z nadzieją czekali, aż ktoś odkryje ogień - zażartował Doc.

Potem rozłożył koc na drewnianej podłodze i doprowadził mnie do niego. Usiedliśmy, dotykając się ramionami. Czułam, że coś dobrego wisi w powietrzu, ale nie miałam pojęcia, co to takiego.

- Czy to jeszcze nie koniec? - spytałam szepciem.

- Długo czekałem na właściwy moment - odparł. - Mówiłaś, Samantho, że lubisz niespodzianki

ROZDZIAŁ 76

- Jestem taki szczęśliwy, Samantho - powiedział Doc cichutko. - Spotkałem cię trochę za późno, ale kocham cię ponad wszystko... i oto właśnie trzymam cię w ramionach. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, moją bratnią duszą, moją powiernicą, moją cudowną, jedyną miłością. Wciąż nie mogę uwierzyć, że na tej okropnej imprezie Czerwonego Krzyża spotkałem ciebie lub też ty spotkałaś mnie. A teraz jesteśmy tu we dwoje.

Wciąż nie wiedziałam, do czego Doc zmierza, ale moje serce zaczęło bić szybciej. Nigdy nie szczędził mi słów miłości, nieraz bardzo pięknych, ale dziś jego wyznania brzmiały wyjątkowo, bar-

dziej namiętnie, wzruszająco i czule - co dla mnie miało wielką wartość. Po chwili wyjął niewielkie pudełeczko i oświetlił je latarką.

- Otwórz - poprosił.

Uniosłam wieczko i spojrzałam z niedowierzaniem. W środku był pierścionek z szafirem i małymi brylancikami. Zaparło mi dech w piersiach, ale nie domyślasz się, dlaczego. Dawno, dawno temu, gdy byliśmy w Chicago, zwróciłam jego uwagę na ten pierścionek u Tiffany'ego. Wtedy bardzo mi się podobał, ale teraz wycisnął mi łzy z oczu. Nie mogłam uwierzyć, że Doc zapamiętał to i teraz mi go podarował.

Wsunął pierścionek na mój palec.

- Kocham cię ponad wszystko... - wyznał. - Czy zostaniesz moją żoną, Samantha?

Oczy zrobiły mi się jeszcze bardziej okrągłe. Widziałam twarz Doka na tle nieba i gwiazd. Objęłam go i mocno przytuliłam do siebie. Naprawdę tego się nie spodziewałam, nigdy nie marzyłam nawet o tym.

Ledwo mogłam mówić.

- Ja też kocham cię ponad wszystko. Jestem taka szczęśliwa, że cię spotkałam. Oczywiście, że wyjdę za ciebie. Czy wyglądam na głupią?

Potem w kółko powtarzałam prawdziwe imię Doka; nad naszymi głowami mrugały miliardy gwiazd i wydawało się, że wszechświat jest jedną wielką harmonią.

ROZDZIAŁ 77

Po przeczytaniu ostatniego, niezwykłego listu Sam zapadłam w sen. Wiedziałam, że po powrocie do Lake Geneva

będę musiała zadać jej kilka pytań. A może zrobię to, gdy wrócę do hotelu? Dlaczego nie wyszła za mąż za Doka? Co się stało?

Nagle obudziłam się, ponieważ ktoś delikatnie dotknął mego ramienia i kilka razy powtórzył moje imię. Przez okna poczekalni sączyło się światło wczesnego poranka. Nade mną stał Adam Kolski.

- Dzień dobry, Jennifer. Mogliśmy ci zapewnić wygodniejsze miejsce do spania - powiedział.

- Co z Brendanem? - spytałam od razu.

- Spał całą noc, podobnie jak ty. Niczego nie obiecuję, ale porusza już palcami u nóg - wyjaśnił lekarz. - Wie, jak ma na imię, pamięta również twoje. Prosi, żebyś do niego przyszła.

Poderwałam się na równe nogi.

- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście. Dlatego po ciebie przyszedłem. Chcę, żebyś z nim porozmawiała. Zobaczymy, czy cię pozna. Chodź.

Kolski, „fantastyczny” chirurg, rozsunął drzwi do niewielkiej sali, w której leżał Brendan na oddziale intensywnej opieki medycznej.

- Masz pięć minut - powiedział.

Zobaczyłam Brendana zza pleców Kolskiego. W prawej ręce miał zwiniętą w wałek ściereczkę. Odłożyłam ją na bok i wsunęłam swoją dłoń w jego.

- To ja, Jennifer - szepnęłam. - Jesteś gotów na poranną kąpiel w jeziorze?

Brendan nie zareagował, co mnie nie zdziwiło, ale też nie rozwiało niepokoju o jego stan. Bałam się, czy w czasie operacji nie doszło do jakiegoś uszkodzenia mózgu.

- Jestem tutaj. Chcę, żebyś o tym wiedział. Ty też tu jesteś.

Gadałam trochę od rzeczy, ale się tym nie przejmowałam, zresztą dla Brendana nie miało to chyba znaczenia. Nie wiedziałam nawet, czy poznaje mój głos.

Wtedy, gdy tak stałam przy jego łóżku, zdarzył się cud - przynajmniej ja tak to przyjąłam. Brendan leciutko uścisnął moją dłoń. Zadrżałam i pochyliłam się ku niemu.

- Jestem tutaj, Brendanie. Nic nie mów. Będę mówić za nas oboje. Jestem tutaj, skarbie.

- Jesteś prawdziwa?

Wyprostowałam się gwałtownie i spojrzałam na Brenda. O mój Boże, przemówił!

- Najprawdziwsza z prawdziwych - zapewniłam go, chociaż głos mi się łamał ze zdenerwowania. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że Brendan przemówił. - Czujesz moją dłoń? Ścisnęłam twoje palce.

- Nie widzę cię - powiedział schrypniętym szeptem.

- Dlatego, że masz opuchnięte oczy.

Milczał dłuższą chwilę.

Myślałam, że zasnął.

- Bałem się... że nie przeżyję - wyjąkał w końcu.

Widziałam, że Brendan bardzo się stara zapanować nad łzami, mimo to popłynęły spod zamkniętych powiek.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział.

Ogarnęła mnie ogromna czułość i miłość. Przecież on próbował mnie uspokoić! Nawet teraz, po tak ciężkiej operacji, myślał o mnie. Miał bardzo zmieniony głos, ale to był on, mój Brendan.

- Wyobrażałem sobie... - mówił dalej - jak siedzisz na pomoście... jak osłaniasz oczy przed słońcem... patrzysz na mnie... Przez cały czas trzymałem się tych myśli.

Patrzyłam na niego. Tak bardzo go kochałam! Potem zdarzył się następny cud. Lekko otworzył oczy i niewyraźnie się do mnie uśmiechnął.

Był to najcudowniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałam.

- Tak bardzo cię kocham - wyszeptałam. - O mój Boże, jak ja cię kocham.

- Nie kłóć się ze mną... ja kocham cię bardziej.

W tym momencie uwierzyłam w coś, co chwilami wydawało się niemożliwe - Brendan będzie żył.

ROZDZIAŁ 78

Mijały tygodnie. Każda chwila, każda godzina była teraz bardzo ważna. Niemal cały czas spędzałam w klinice Mayo i Centrum Medycznym Lakeland w Lake Geneva. Gdybym miała przepisowy strój w kolorowe paski, mogłabym uchodzić za wolontariuszkę.

Brendan bardzo powoli wracał do zdrowia. Był to dla nas obojga trudny okres. Ale każdy dzień, każdy tydzień przynosił poprawę. Terapeuta Brendana bardzo go polubił, może trochę dlatego, że codziennie wkładał na głowę inną śmieszna czapkę, może też dlatego, że przez trzy tygodnie nikomu się nie przyznał, iż sam jest cenionym lekarzem, ale przede wszystkim dlatego, że miał tak ujmujący sposób bycia.

Nadszedł październik. Pewnego ranka zostaliśmy poproszeni do gabinetu doktora Kolskiego w budynku St. Marys. Chirurg pokazał nam klisze rentgenowskie, a potem powiedział, że może wypisać Brendana ze szpitala. Nastąpiła remisja.

- Ty też możesz wrócić do domu, Jennifer - powiedział Kolski i obdarzył mnie jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

Następnego dnia wyruszyliśmy w drogę powrotną do Lake Geneva. Byłam podniecona i trochę zdenerwowana. Mieliśmy się zobaczyć z Sam. Wróciła do domu, ale na tym nie koniec. Gdy zadzwoniłam i przekazałam jej najnowsze wieści o Brendanie, Sam obiecała, że pozna nas z Dokiem.

Październik nie był moim ulubionym miesiącem - słońce zdecydowanie za wcześnie chowa się za horyzontem - ale ten październik był dla mnie szczęśliwy. Miałam się z czego cieszyć. Brendan i Sam wyzdrowieli, a teraz jeszcze czekało mnie spotkanie z Dokiem.

W końcu podjechaliśmy pod dom Sam. W ogrodzie za domem stał pikap Henry'ego. Hm.

Brendan wysiadł z samochodu i wciągnął w płuca powietrze przesycone zapachem jeziora.

- Sam! Jesteśmy! - zawołał. - Masz gości!

Potem wydał jeden ze swoich dzikich okrzyków - wprawdzie nie tak głośny jak kiedyś, ale wystarczająco donośny, żeby przestraszyć drozdy, które siedziały w gałęziach drzew.

- Ścigamy się do jeziora? - spytał z uśmiechem.

Wiedziała, że wciąż jeszcze jest słaby, ale dobrze wyglądał, a jego uśmiech robił swoje.

Sam się nie odzywała, postanowiłam więc obejść ciemny dom i poszukać jej. Wchodziłam do każdego pomieszczenia, nawołując coraz donośniej, by przekrzyknąć stukot obcasów po drewnianej podłodze. Pewnie dlatego, że tak dużo miałam złych przeżyć, a może przeciwnie - dlatego, że tak szybko wszystko obróciło się na dobre - łatwo ulegałam panice.

- Jen! - zawołał Brendan z werandy. - Sam wyszła. Jest nad jeziorem,

Z walącym sercem i ciesząc się jak dziecko, głośno zbiegałam po schodach i wypadłam przez kuchenne drzwi. Pod drzewem stało kilka krzeseł. Sam była w towarzystwie.

Obok niej w cieniu siedział jakiś mężczyzna. Miał na głowie złocistą czapkę z literą „V”. Czyżby Vanderbilt? Nagle wszystko zaczęło mi się rozjaśniać.

- Doc - szepnęłam. - Jak mogłam się nie domyślić.

ROZDZIAŁ 79

Możliwie najszybciej przebiegłam przez trawnik w dół i rzuciłam się w otwarte ramiona Sam. Jak dobrze było się przytulić! Chwilę później Sam podeszła do Brendana i uścisnęła go jak ktoś bardzo bliskiego.

Potem odwróciła się do mężczyzny swoich marzeń.

- Chcę wam przedstawić Doka - powiedziała. - To John Farley. Doktorat z filozofii uzyskał w Vanderbilt School of

Divinity. Wszystko się wspaniale układa, Jennifer. Tak czasem w życiu bywa.

Mój Boże, okazało się, że Dokiem jest wielbny John Farley! Trzeba przyznać, że tworzyli piękną parę. Miło było na nich patrzeć. Czułam, że serce mi śpiewa.

We czwórkę usiedliśmy w cieniu starego klonu.

- Ale heca! - mruknęłam do siebie.

Ilekoć widziałam, jak Sam i Doc... John wymieniają spojrzenia i trzymają się za ręce, na moich ustach pojawia się uśmiech.

Przytuliłam się do Brendana, a on szepnął mi na ucho:

- Słusznie... Ale heca!

Rzeczywiście, wszystko wspaniale się układało. Po chwili we czwórkę krzątailiśmy się po kuchni. Doc obierał ziemniaki, zostawiając śmieszne cienkie i długie spiralki obierzyn. Brendan nie mógł się zdecydować, czy woli łuskać groszek, czy go zjadać. Ja właśnie rozsypałam mąkę.

W końcu Sam powiedziała:

- Wyoście się z mojej kuchni. Zostawcie gotowanie profesjonalistom!

Śmiejąc się, przenieśliśmy się do jadalni. Czterdzieści minut później pomagaliśmy Sam nakrywać do stołu. Podała pieczeń wołową, pataty, groszek z cebulką, a na deser - biszkopt własnej roboty.

Podczas kolacji zadałam Johnowi Farleyowi pytanie, które dręczyło mnie od dawna.

- Wiem, że poprosiłeś Samanthę o rękę. Ty, Sam, powiedziałaś, że nie jesteś głupia, by go odrzucić. - Przeniosłam wzrok z twarzy Sam na Johna. - W takim razie co się stało?

Sam spojrzała na Doka.

- No cóż, najpierw namówiłem ją na małżeństwo, a potem jej to wyperswadowałem - wyznał.

Sam skwitowała jego słowa śmiechem.

- Po prostu wysunął kilka kwestii, które powinniśmy rozważyć. Na przykład, że dla miejscowych plotkarek staniemy

się tematem do omawiania, oceniania, a nawet osądzania. Będą sobie żartować, że jesteśmy jak bohaterowie „Ptaków ciernistych krzewów”. Myślę, że nie byłabym tym zachwycona. Za bardzo przywykliśmy już chronić swoją prywatność. To mogłoby również niekorzystnie odbić się na pracy duszpasterskiej Johna. Wtedy Doc wpadł na pewien pomysł. John przechylił głowę i spojrzał na Sam.

- Zapytałem, co by było, gdybyśmy nikomu o tym nie powiedzieli? Gdybyśmy dalej utrzymali nasz związek w tajemnicy? Po długich rozważaniach postanowiliśmy tak postąpić. Zresztą od początku wszystko, co było między nami, znacznie odbiegało od powszechnie przyjętego stylu życia.

Sam ujęła dłoń Johna.

- Pobraliśmy się w sierpniu dwa lata temu w Copper Harbor, w stanie Michigan. Nie wie o tym nikt prócz was.

Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Za Samanthę i Doka! - zwołaliśmy oboje z Brendaniem.

- Za Brendana i Jennifer! - odpowiedzieli.

Sam uściśnięła mnie ze wszystkich sił, Doc również. Oboje objęli Brendana. Potem jeszcze kilka godzin siedzieliśmy, gawędząc. Patrzyliśmy, jak nad jeziorem zapada ciemność, a Doc odślaniał przed nami tajemnice gwiazd, i szczerze wątpię, by Stephen Hawking był w tym lepszy. Byłam naprawdę szczęśliwa. Bardzo dobrze zapamiętałam tamten wieczór nad Lake Geneva. Będę go pamiętać do końca życia.

Niecałe trzy tygodnie później przysłała katastrofa.

ROZDZIAŁ 80

Jak mówiła Sam: „Tak czasem w życiu bywa”.

Na początku listopada siedziałam na wypłowiałej niebieskiej sofie w salonie mojej babci. Brendan trzymał mnie za jedną rękę, Doc za drugą.

- Widać tak musiało być - szepnął Doc, przyciskając do piersi drżącą dłoń. - Sam na zawsze pozostanie w naszych sercach. Niech spoczywa w pokoju.

Co chwila o deski werandy stukał czyjś parasol, a potem przy mocnych podmuchach wiatru otwierały się drzwi wejściowe i do środka wchodził kolejny przyjaciel Sam. Wkrótce dom był pełen ludzi z Lake Geneva, Chicago, a nawet Copper Harbor. Z trudem docierała do nich myśl, że znaleźli się tu z tak smutnego powodu.

Rozglądałam się dookoła i wszędzie widziałam Sam.

W błękitnych oczach dziecka mojego kuzyna Bobby'ego, na rodzinnych zdjęciach na ścianie, w zalanej łzami twarzy mojej cioci Val, która przez duże okno patrzyła na skąpane w deszczu jezioro. Trudno było uwierzyć, że kogoś, kto był bliski tylu ludziom, nie ma już wśród nas.

Wreszcie Doc pochylił się nade mną.

- Jeśli jesteś gotowa - szepnął - myślę, że powinniśmy zacząć. Samantha nie chciałaby, żeby ktoś na nią czekał. My chyba też nie chcemy.

Gdy Doc opowiadał o swojej Samancie - nadal nie ujawniając tajemnicy ich związku - przycisnęłam twarz do ramienia Brendana. John był taki dzielny, mówił tak pięknie, przejęty bardziej niż ktokolwiek z zebranych mógł przypuszczać. Podczas jego mowy myślałam o tych, których kochałam, a których śmierć już zabrała: o dziadku Charlesie, mojej mamie, Dannym. Potem przyjaciele Sam przywoływali wspomnienia o niej lub o najbliższych ich sercu zdarzeniach z jej życia. Brendan cały czas delikatnie mnie obejmował.

Gdy zapadła cisza, szepnął:

- Pora na ciebie, Jen.

ROZDZIAŁ 81

Nie lubię przemawiać publicznie ani znajdować się w centrum uwagi, czułam jednak, że muszę wstać i coś powiedzieć. Przecież to moja babcia, moja Sam. Kiedy szłam przez pokój, kręciło mi się w głowie, jakbym za chwilę miała zemdleć.

Stałam tyłem do jeziora. Po prawej miałam swoje ulubione czarno-białe zdjęcie Sam. Spojrzałam na smutne, pełne oczekiwania oczy przyjaciół mojej babci. Brendan uśmiechnął się zachęcająco. Doc spojrzeniem dodawał mi odwagi. Wtedy ogarnął mnie spokój.

- Posłuchajcie mnie, proszę - zaczęłam. - Nie umiem przemawiać, ale jest coś, co chciałabym dziś powiedzieć. Gdy byłam dzieckiem, tu, w tym domu, u babci Sam spędzałam co roku cudowne wakacje.

Gdy po raz pierwszy wymówiłam jej imię, głos mi się załamał. Mówiłam jednak dalej, nie zważając na to, że płaczę.

- Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami od zawsze. To samo nas dziwiło i złościło, śmiałyśmy się i płakałyśmy z tych samych powodów, tak samo patrzyłyśmy na świat. Kochałam ją jak nikogo na świecie i bardzo ją podziwiałam.

Wieczorami, gdy leżałam już w łóżku, powierzałam jej swoje największe tajemnice: babcia siedziała koło mnie i trzymała mnie za rękę. Niektóre dzieci boją się ciemności, a ja jej oczekiwałam, przynajmniej wtedy, gdy byłam z Sam.

Trochę podobnie czuję się w tej chwili: nie widzę babci, ale wiem, że ona tu jest.

Nie tak dawno temu uciekłam od świata, ponieważ... jak by to powiedzieć... chyba nie potrafiłam znieść bólu, który towarzyszy naszemu istnieniu. Sam łagodnie wywabiła mnie ze skorupki, w której się zamknęłam, i zdjęła ze mnie welon smutku. Sam wskazała mi drogę ku nowemu uczuciu. Dzięki niej znalazłam Brendana, którego tak bardzo kocham.

Jest jednak coś, o czym nie zdążyłam jej powiedzieć, więc zrobię to teraz. Sam, kochana... Samantha, mam dla ciebie

wspaniałą wiadomość. Brendan i ja spodziewamy się dziecka. Twojego pierwszego prawnuczka - lub prawnuczki.

Po tych słowach znów się rozpląkałam, chociaż wiedziałam, że na mojej twarzy widnieje uśmiech. Spojrzałam na Doka - jego twarz promieniała radością. Podobnie jak Brenda.

- Wyobraźcie sobie w tej chwili Sam. Rozjaśnia się, słucha, jakbym była kimś najważniejszym na świecie.

Wprost trudno mi uwierzyć, że Sam nigdy nie zobaczy naszego dziecka, że nie zdoła znaleźć sposobu, by przezwyciężyć rzeczywistość.

Zastanawiam się, czy nasze dziecko będzie miało piękne loki Sam. I jej błyszczące oczy. I niebywałą umiejętność kochania ludzi, zdobywania wspaniałych przyjaciół. Jednego jestem pewna. Będzie wiedziało wszystko o swojej prababci, dowie się również, jak niezwykłą była osobą. Opowiem mu wszystko o Sam. Wiem dobrze, jaka była moja babcia, i to jest mój skarb.

Jest jeszcze coś. Czy to będzie chłopiec czy dziewczynka, damy mu na imię Sam.

ROZDZIAŁ 82

Tego popołudnia przyjaciele i krewni Sam godzinami snuli wspomnienia o niej; wielu bliskich i trochę dalszych przyjaciół zostało do późnej nocy, a każda opowieść wydawała się ciekawsza od poprzedniej. Ja wiedziałam rzecz jasną więcej niż ktokolwiek inny. Miałam listy Sam. Nie chciałam jednak mówić wszystkiego. To była nasza wspólna tajemnica: Doka, Brenda i moja.

Wieczorem podszedł do mnie Shep. Schylił się i pocałował mnie w policzek.

- Czekałem, aż zrobi się luźniej - powiedział. - Świetnie się dziś spisałaś, Jennifer. Bardzo mi się podobało to, co po-

wiedziałaś o swojej babci. Sam zostawiła coś dla ciebie. Trzymałem to w swojej kancelarii.

Wzięłam z rąk Shepa białą kopertę z czerpanego papieru. Czy to jeszcze jeden list? Co chce mi powiedzieć? Czyżby miała dla mnie nową tajemnicę?

Otworzyłam kopertę, wyjęłam pojedynczą kartkę i zaczęłam czytać.

Najdroższa Jennifer!

Sądzę, że to mój ostatni list. Ale nie smuć się. To nigdy nie było w naszym stylu. Gdy pięćdziesiąt lat temu Twój dziadek i ja kupiliśmy dom nad jeziorem, była to jedynie skromna chata na kamienistej ziemi, ale z okien roztaczał się cudowny widok. W tym domu przeżyłam wiele wspaniałych chwil, Ty chyba również. Wciąż widzę Ciebie i Twoją matkę, jak leżycie skulone na sofie przy kominku, a ja przyrządzam kolację. Valerie urodziła Bobby'ego w sypialni na piętrze, a Ty i Twój kuzyn ciągle zostawialiście mi na podłodze w kuchni ślady po łyżwach. (Wiedziałam oczywiście, że to wy). Mile wspominam letnie miesiące, kiedy życie przenosiło się na werandę, ale najlepiej pamiętam chwile spędzone z Tobą, Jennifer. Zawsze byłaś moim oczkiem w głowie.

Pisząc ten list, spoglądam na jezioro. Niedługo nastanie zima; gałęzie drzew pokryją się błyszczącą warstewką lodu, a padający śnieg utworzy nad jeziorem delikatną koronkową kurtynę. Nie mogę się tego doczekać.

Z niecierpliwością wypatruję też wiosny, kiedy na jezioro wrócą świeżo pomalowane pomosty, w ogrodach stopnieje śnieg, a z ziemi wyłonią się byliny, jak je nazywam „rośliny wieloletnie”. Jak nic w przyrodzie tak i one nie żyją jednak wiecz-

nie, nawet jeśli są tak niespożyte jak ja. Dlatego już dzisiaj przygotowuję się na to, co nieuchronne.

Pamiętam o wszystkich, których kocham, ale dla Ciebie mam specjalny prezent. Jest w tej kopercie. Korzystaj z niego dobrze - wiem, że potrafisz.

Jennifer, moje serce jest przepełnione radością, w moim życiu też jej nie brakowało. To wspaniałe. Mam swojego Doka. Mam Ciebie, a Ty masz Brendana. To mi całkowicie wystarcza. Czyż mogłabym oczekiwać czegoś więcej?

Kocham Cię. Pamiętaj, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką, moim oczkiem w głowie.

Sam

Koperta, w której wyczułam jakiś mały ciężki przedmiot, wysunęła mi się z ręki. Gdy ją podniosłam, wypadł z niej klucz z okrągłą przywieszką z tekturki na czerwonym wystrzępionym sznureczku.

Wzięłam klucz do ręki i przyjrzałam się tekturce.

Z jednej strony Sam napisała: „Knollwood Road 23. Ten dom jest teraz Twój, Jennifer”.

Na drugiej widniały cztery krótkie słowa - ostatnie słowa, jakie skierowała do mnie Sam.

„Miłość nigdy nie umiera”.

Epilog

Obrazki dla Sam

ROZDZIAŁ 83

Brendan i ja siadamy na kanapie przed elegancką, najnowocześniejszą kamerą wideo firmy Sony, ustawioną i gotową do nagrania pierwszej kasety.

Jesteśmy w Chicago w naszym nowym mieszkaniu, z widokiem na jezioro Michigan. To bardzo ważna, podniecająca chwila w naszym życiu, wręcz przełomowa. Tak przynajmniej uważamy.

- Jesteś gotowa? To dobrze. Zaczynamy - mówi Brendan.

Podrywa się z sofy i uruchamia kamerę. Jest pełen energii - remisja trwa - podobnie jak i inni członkowie naszej rodziny.

- Ty pierwsza, Jen - proponuje. - Tobie nigdy nie brak słów.

- Witaj, Samantha - mówię, uśmiecham się niezręcznie i macham ręką do obiektywu. - To ja, twoja mama, gdy miałam trzydzieści pięć lat i jeszcze bez zahamowań przyznawałam się do swojego wieku.

Brendan przysuwa się do mnie.

- A ja od czternastu dni i jedenastu godzin jestem twoim dumnym i szczęśliwym tatusiem.

- Bardzo, bardzo cię kochamy, skarbie, i chcemy kilka razy w roku...

- Może więcej niż kilka - poprawia mnie Brendan. - Pewnie już się zorientowałaś, że twoi rodzice są kiepskimi aktorami. A także, jak widzisz, potwornymi gadułami.

- Mamy więc zamiar filmować się - kończę rozpoczętą myśl - aby Ci przekazać obraz: kim jesteśmy, jacy jesteśmy, co myślimy i oczywiście jak bardzo cię kochamy.

Spoglądałam na Brendana, a on podejmuje wątek - zgodnie z tym, co sobie wcześniej przeciwczyliśmy.

- Tak więc gdy będziesz stara i zniedołężniała tak jak my... a przynajmniej ja... obejrzysz sobie te nagrania i dowiesz się, jakich miałaś rodziców. Czyż to nie świetny pomysł?

- Dowiesz się, jacy byliśmy głupi... Ale również jak bardzo się cieszymy, że jesteś naszą córeczką. W tej chwili śpisz. Bardzo, bardzo dobrze sypiasz.

Brendan klaszcze i prezentuje swój uśmiech godny gwiazdora filmowego.

- Hurra! Świetnie się spisujesz, Samantha! Tak trzymaj. Brawo. Śpij tak dalej!

- Samantha - podejmuję wątek - masz najpiękniejsze pod słońcem błękitne oczy, uśmiech, który zapiera dech w piersiach... to po tacie... i nie możemy się tobą nacieszyć.

- Jesteś również łyśa jak kula bilardowa, ale mama ubiera cię na różowo, dzięki czemu wiemy, że jesteś dziewczynką - żartuje Brendan.

- A teraz opowiem ci ciekawostkę - wtrącam. - Gdy się urodziłaś, gdy tylko pojawiłaś się na świecie, rozejrzałaś się wokół z zainteresowaniem, jak małeńki ptaszek po raz pierwszy wyglądający z gniazdka. Skierowałaś oczka na mnie, bacznie mi się przyjrzałaś... potem zerknęłaś na tatę, również bacznie mu się przyjrzałaś i uśmiechnęłaś się do nas cudownie. Zdaniem naszego lekarza rodzinnego nie mogłaś się jeszcze uśmiechać, ale my się z tym nie zgadzamy.

- Ja też jestem lekarzem, i nie zgadzam się z naszym lekarzem - zapewnia Brendan. - Czy już ci mówiłem, że jesteś łyśa jak jajko?

- Mówiłeś, mówiłeś - przypominam mu. - A teraz pozwól, że zaczniemy opowieść od początku, Samantho. Wyjaśnię ci najpierw, skąd wzięło się twoje imię. To piękne imię i jeszcze piękniejsza historia. A ty, Sam, jesteś jej szczęśliwym uwieńczeniem.

Potem milczę chwilę i powtarzam w myślach „Miłość nigdy nie umiera, Sam”.